

trzeba kochać, jak uczy
do młodości oda,
niezłomnie stać, jak
stoją Tatry warowne
mury,
dopóki z nóg nie zwali
śmierci ciężka kłoda.

Kazimierz Andrzej Jaworski
(1887-1973)

Kazimierz Andrzej Jaworski

Wrzesień

Czekają na mnie złote oceany
K. A. J.

Już nie czekają na mnie złote oceany,
tak jak o tym pisałem przed czterdziestu laty.
Już nie przywrę stopami do tatrzańskich ścian,
nie przylgną do nich śniegu tatrzańskiego płaty.
Lecz trudno mi narzekać. W wrażeń bogaty,
o wszystkim, co przeżyłem śpiewałem peany.
Spłacałem swoje długie powoli na raty
i wnet uiszczę całość, dłużnik bez nagany.
Bowiemy wszyscy zmierzamy do jednego końca,
skazani już od chwili swego urodzenia,
bez żadnej apelacji i bez prawa łaski.
Garniemy się do ludzi, do bliskich, do słońca,
odrzucając wciąż myśli o krainie cienia
chcąc wierzyć, że nie zgasną nam słoneczne
blaski.

(1973)

Jesionów jasnych jesień,
słoneczny słodki plaster,
zapach konania w lesie,
martwy na klombie aster.
Liści rumieniec chory
przypomina suchoty.
Cóż, że z modrej amfory
leje się wino złote?
Wspomnienia żują drzewa —
wczorajszy lata przepych.
Cóż, że dziś słońce śpiewa,
jutro będziemy ślepe.
I tylko serce poety
wciąż jednakowo tętni:
pijemy życia sekrety
i w śmierci będziemy piękni.

W papierach pośmiertnych Kazimierza Andrzeja Jaworskiego został znaleziony tekst napisany na prośbę Stowarzyszenia Miłośników Ziemi Chełmskiej w obliczu 40-lecia „Kamena”. Ponieważ tekst nie był dotychczas wykorzystany w druku, publikujemy go na naszych łamach udostępniając Czytelnikowi wspomnienie o początkach pisma napisane przez jego pierwszego redaktora.

TAK, tak — to już lat czterdzieści. Widzę to piękne popołudnie czerwcowe, grono kolegów przy stole, przez okno zagłada do nas ścięta już dawno tuja. Spotkanie to poprzedziły długie narady z Zenkiem, jedynym człowiekiem w Chełmie, który mnie rozumiał w sprawach artystycznych i był mi bliski. Działo się to w okresie, kiedy Lublinowi zabrakło już „Barykad” nie mówiąc już o dawno zgasłym „Reflektorze”. Z zapowiadanej „Strefy” nic jakoś poza tytułem nie wychodziło.

A gdyby tak tę lukę wypełnić pismem literackim ukazującym się w Chełmie? Pomyśl rzucony przeze mnie gdzieś w marcu był tak zuchwały, że graniczył się z absurdalnością. Kto? Gdzie? Dla kogo? Za co? Ale w miarę upływu dni i tygodni stopniowo znajdowaliśmy na te pytania mniej lub więcej wyraźne odpowiedzi.

Kto? — My dwaj, oczywiście, jako inicjatorzy projektu, kierujący pismem, czuwający nad jego stroną literacką i artystyczną. Kto jeszcze? Bo sami przecież nie wypełnimy numeru. Ale w Lublinie jest kilku kolegów, na których pióro można liczyć. Znajdą się i inni, trzeba tylko sprawę rozkręcić.

Gdzie? Ma się rozumieć w Chełmie, gdzie obaj mieszkamy i gdzie możemy wszystkiego dopilnować. Są tu trzy drukarnie, dwie co prawda bardzo prymitywne, drukowały już one i zbiorki poetyckie — moje i moich wychowanków — i pismka szkolne. Orientowaliśmy się w możliwościach tych „oficyn” i kosztach druku.

Dla kogo? Dla wszystkich interesujących się poezją w Chełmie i Lublinie. Może w Zamościu i Hubieszowie. Mieściliśmy na widoku młodzież, nauczycielstwo i w ogóle inteligencję województwa. Co będzie dalej — zobaczymy. Za co? Z tym pytaniem było najtrudniej. Z góry zakładaliśmy, że praca nas dwóch będzie bezinteresowna. Ale liczyliśmy i na to, że drukującym w naszym piśmie nie będzie się płaciło honorariów. I nie zawiedliśmy się na nikim, gdy zapraszając do współpracy uprzedziliśmy autorów, co ich pod tym względem czeka. Zresztą nie stanowiliśmy wyjątku. Wiele pism, zwłaszcza nowych i niepewnych swego żywota, stosowało podobny „usus”. A więc honoraria odpadają, pozostają koszty papieru i druku. Założymy przeto — jak to określiliśmy żartobliwie — „spółdzielnię wydawniczą”, składającą się, oczywiście, z nauczycieli, bo myśl założenia pisma rzucili nauczy-

cieli i wśród kolegów mogliśmy znaleźć największe zrozumienie.

To było powodem zebrania, na którym zapadła jednomyślna uchwała, że „spółdzielnia” dobrowolnie opodatkują się na rzecz wydawnictwa w wysokości 5 do 10 zł miesięcznie. Liczyliśmy wprawdzie na większą liczbę członków, ale dobra i ta dziesiątka. Zmniejszyliśmy objętość pisma do 16 str. i jakoś damy sobie radę.

Gdy sięgnę dziś pamięcią ku tym ludziom, którzy tak chętnie poparli wtedy nasz projekt i dzięki zbiorowej pomocy finansowej w pierwszych latach istnienia pisma przyczynili się do jego utrzymania, wzruszenie ścisła mnie za gardło. Przecież oprócz mnie i Witolda Kasperskiego nikt z nich już przy życiu nie został. Wojna była bezlitosna, odchodzili ludzie bliscy, najboleśniej było odejście przyjaciela — Zenka Waśniewskiego: przecież „Kamena” to było nasze wspólne dziecko, jakże zubożało pismo odrodzone po wojnie, kiedy zabrakło w nim pięknych linorytów Zenona! To odejście było tym straszniejszą, że zginął w przededniu wyzwolenia obozu w Bergen Belsen. Nie ma już prawie nikogo z załogi drukarni Bronfelda, w której tłoczono „Kamena”. Ocalał tylko Goldman, którego spotkałem w r. 1945 w mundurze żołnierza polskiego. Uszedł przed Niemcami do Związku Radzieckiego. Inni podzieliłi los Żydów w czasie okupacji.

I nie ma już wielu z tych, co drukowali w „Kamencie”, co bezinteresownie zasiliłi ją swym piórem. Listę strat wojennych (13) zamieszczoną po wznowieniu „Kamena” powiększa dziś przeszło 30 autorów. Ale ci już odeszli śmiercią naturalną.

Takie były początki „Kamena”, której ambicją początkowo było wychodzić regularnie przynajmniej przez rok. Wychodziła regularnie przez sześć lat do wybuchu wojny, a potem w Odrodzonej Polsce już mniej punktualnie — cztery lata. Później pismo stało się organem Oddziału Lubelskiego ZLP, zmieniło częstotliwość ukazywania się, format i redaktorów. Kierowali „Kamena” kolejno ja, Maria Bechczyc-Rudnicka ze mną, Maria Bechczyc-Rudnicka, wreszcie od r. 1965 mój syn — Marek Adam, ten sam, który w 1934 r. jako sześciolatek bawił się układaniem różnokolorowych zeszytów pierwszego rocznika.

Chełmską „Kamena” wydawaliśmy w nakładzie 300 egz. Dziś ukazuje się ona w liczbie 18—19 tysięcy.

K. A. Jaworski

Założyciel „Kamena” nie żyje



P RZYWYKLIŚMY do tego, że KAJ — ten symbol wszystkiego, co w lubelskiej kulturze rzetelne i cenne — wymknął się prawie spod władzy czasu, dlatego dzień 6 września 1973 roku, który zakończył życie człowieka, uderzył w nas boleścią pomieszaną ze zdumieniem. Nie żyje Kazimierz Andrzej Jaworski. To zdaje się przeczyć naturze naszego literackiego życia, prawidłowościom jego rozwoju. Tyle Go było...

Niepotrzebne jest wyliczanie zajęć: poeta, prozaik, tłumacz, redaktor, pedagog, działacz społeczny. I tak nie wyczerpiemy wszystkiego, bo na przykład żadną etykietką nie uda się ująć Jego miłości ojczystego języka, o którego czystość tyle stoczył potyczek. Ale nie potrzeba — z innego, bardziej zasadniczego względu. W każdej z tych postaw, w każdym z tych sposobów życia znajdował się Jaworski cały. Posiadał jakiś dziwny dar integracji wewnętrznej, harmonii wszystkich elementów składających się na ludzką osobowość. Jak urokiem innych bywa rozwichrzenie i niekonsekwencja. Indywidualność Jaworskiego miała coś z ładu, skupienia i ciszy biblioteki, w której poszczególne tomy koegzystują ze sobą na zasadzie dążenia do pełni. Dążenie do pełni w Jego wypadku było widoczne również w sposób czysto zewnętrzny. Któż by pomyślał, że ten literat najlepiej czujący się na świecie książek, dzieł, utworów, był również zapalonym taternikiem, że Jego ucho na równi z szelestem kartki chętnie chwytalo zgrzyt czekana.

Był poetą i przede wszystkim poetą. Tak, w Jego dorobku pozycje poetyckie zajmują czołową i najobszerniejszą pozycję. Ale nie ten fakt bibliograficzny jest w tym względzie najwymowniejszy. Jaworski był poetą przez swoje umiłowanie życia widocznie we wszystkim, co pisał i co czynił. Umilowanie aczkolwiek bardzo czynne, to jednak wyrażane z zadziwiająco dyskrecją. Szczególnie w kontaktach bezpośrednich. Nie było w tym niekontrolowanej żywiołowości. Rzadko kiedy wycisnęło się zeń wyznaczenie na temat burzy wiosennej, gałązki brzo, odbłasku słońca na wodzie — obrazów mających jakie zastrzeżone miejsce w Jego poezji, egzystujących na zasadzie niemal obsesjonalnego tematu Jego twórczości. Ale Jaworski tak wiele poświęcający im uwagi w piórze, nader skromnie traktował o nich w słowie bezpośrednio mówionym. Zawsze wolał skierować rozmowę na jakiś szczegół praktyczny, jakby nie doceniał „nastroju”. Dlaczego? Nie w obawie przed „nalwnością”. Raczej z założenia, że piękno rozumie się samo przez się, że być człowiekiem — to znaczy doświadczać Jego działania w sposób naturalny i oczywisty.

Ten poeta o wyraźnej jednoznacznej tonacji własnego instrumentu odznaczał się niebawym wycuciem wachlarza stylizacji, diapazonu form istniejących we współczesnej i nie-współczesnej poezji. Posiadał trafne wyczuwanie indywidualności twórczej. To Mu umożliwiło tak przekonujące dokonania na niwie przekładowej, a i pod względem filologicznym jest to dorobek imponująco obszerny. Przecież cała bez mała poezja słowiańska w spełnieniu najcenniejszych jej przedstawicieli mamy udostępnioną dzięki Jaworskiemu. Jesienin, Blok, Majakowski, Szczepanow, Hałas, Nerwał, Kupała, Tank — wchodzi w drzwi polszczyzny otwarte gościnnie przez KAJ-a. Rzadko który z poetów przekładając, wypowiadał się do tego stopnia trafnie i we własnym również imieniu.

Dokończenie na str. 3

ZNANI I NIEZNANI

CZŁOWIEK
Z PODCHORAŻÓWKI

Miroslaw Derecki



Kpt. rez. Tadeusz Serwacki

lerii lekkiej, pułku, którego 122 mm haubice i działa kalibru 76, ciągnęły silne i zwinne koniki, popularnie zwane przez żołnierzy „mongolami”. Wkrótce zresztą pułk został zmotoryzowany. W Sielcach Serwacki skończył szkołę podoficerską i jako kapral-podchorąży został dowódcą dział.

W noc sylwestrową 1943/44 pułk został poderwany na nogi nocnym alarmem i ruszył w kierunku Smoleńska.

Rozrastająca się armia polska potrzebowała coraz większej liczby oficerów. Szczególnie dla „królowej broni” cenny był każdy człowiek legitymujący się wykształceniem średnim. Niedługo więc zabawił kapral-podchorąży w 2 p.a.l.-u. Wypożyczony w wojskowy bilet, wyruszył zatłoczonym pociągiem przez Moskwę do Kostromy, miasta, gdzie usadowiła się ewakuowana z Leningradu III Leningradzka Oficerska Szkoła Artylerii. Utworzono przy niej I Samodzielną Baterię Polską i tam właśnie, w Kostromie, należałoby szukać pierwszych związków późniejszej chełmskiej podchorążówki artyleryjskiej. W Samodzielnej Baterii Polskiej znalazło się około 110 podchorążych, wśród nich spotkał Serwacki obecnego dyrektora Zarządu Wojewódzkiego LOK w Lublinie, pułkownika Wysockiego, a zaprzyjaźnił się serdecznie z podchorążym Kubickim, który w przyszłości miał się dosłużyć szlifów generalskich.

W maju 1944 r. I Samodzielna Bateria Polska została przeniesiona do Riazania, gdzie weszła w skład szkolnego dywizjonu artylerii Centralnej Szkoły Podchorążych Polskich Sił Zbrojnych w ZSRR. Dowódcą szkoły był pułkownik Jurkin, a dowódcą dywizjonu artylerii — major Charlamow. Z Riazania szkoła miała przenieść się do Nowogrodu Wołyńskiego, ale front tak bardzo poszedł do przodu, że ostatecznie transport wojskowy, w którym znajdował się Tadeusz Serwacki, został skierowany przez Sarny, Zdobunów, Równe i Kowel do Chełma.

Nocą 28 sierpnia 1944 r. przyszli oficerowie artylerii zaczęli wyładowywać działa na rampie towarowej w Chełmie. W transporcie przyjechało wówczas około 200 podchorążych — nie licząc wykładowców i personelu pomocniczego — „majątek” szkoły stanowiło ok. 50 dział (haubice 152 i 122 mm, armaty 77 mm), działa przeciwlotnicze i moździerze wszystkich kalibrów. Siedzibą szkoły stał się obszerny, kilkupiętrowy gmach, z którego balkonu

jeszcze niedawno odczytano słowa Manifestu PKWN.

Komendantem I Szkoły Podchorążych Artylerii został pułkownik dyplomowany Artur Huleja, jego zastępcą — plk. Laszko. Zastępcą komendanta szkoły do spraw politycznych był mjr. Zadrzyński, kwatermistrzem — plk. Granowski, zastępcą dowódcy do spraw wykszolenia plk. Iekowicz, adiutantem szkoły — mjr. Drużew.

Komendantowi podlegały trzy wydziały: polityczny, kwatermistrzowski (sekcje: finansowa, mundurowa, żywnościowa, kwaterunkowa i uzbrojenia) oraz wydział wykszoleniowy.

Wydział wykszoleniowy zajmował pierwsze piętro gmachu. Mieściła się też tutaj kancelaria komendanta szkoły i kwatermistrzostwo. Każdy dywizjon miał swój sztab z kancelarią dowódcy dywizjonu, kancelariami dowódców baterii i szefów baterii, salą wykładową, salą nauki własnej i broni oraz sypialniami

podchorążych. Zbiórki odbywały się na korytarzach gmachu. Tadeusz Serwacki zamieszkał w sali na drugim piętrze, tam gdzie obecnie mieści się Wydział Oświaty i Kultury PPRN. Dowódcą baterii był kpt. Tron, dowódcą plutonu — por. Krywienko.

Działownie rozmieszczone były pod gołym niebem. Obecnie na tym miejscu znajduje się budynek mieszkalny usytuowany obok hotelu Cementowni, boisko, internat i warsztaty Technikum Budowlanego.

W programie nauczania znajdowały się następujące przedmioty: wychowanie polityczne, taktyka artylerii i taktyka ogólna, instrukcja strzelania, opis sprzętu artyleryjskiego, działaczyny, topografia artyleryjska, wyszkolenie saperkie, gazownawstwo, łączność, wyszkolenie strzeleckie, musztra piesza, wychowanie fizyczne, regulaminy oraz jazda konna (skasowana w 1945 r.). Poza tym klasyfikowano podchorążych za prezencję, zachowanie i pilność.

Pierwsza promocja z udziałem gen. Zygmunta Berlinga odbyła się 15 października 1944 r., przed południem. Promowanych zostało 94 podchorążych — 89 otrzymało stopień podporucznika a 5 — stopień chorążego. Podporucznik Tadeusz Serwacki ukończył szkołę z 46 lokatą.

Główne uroczystości odbywały się przed budynkiem szkoły. Wieczorem — bankiet w pomieszczeniu, gdzie dzisiaj znajduje się stolówka kolejowa. Podczas bankietu grała orkiestra dęta szkoły pod batutą kapelmistrza, ppor. Raka, obecnie oficera w stanie spoczynku, mieszkającego w Chełmie.

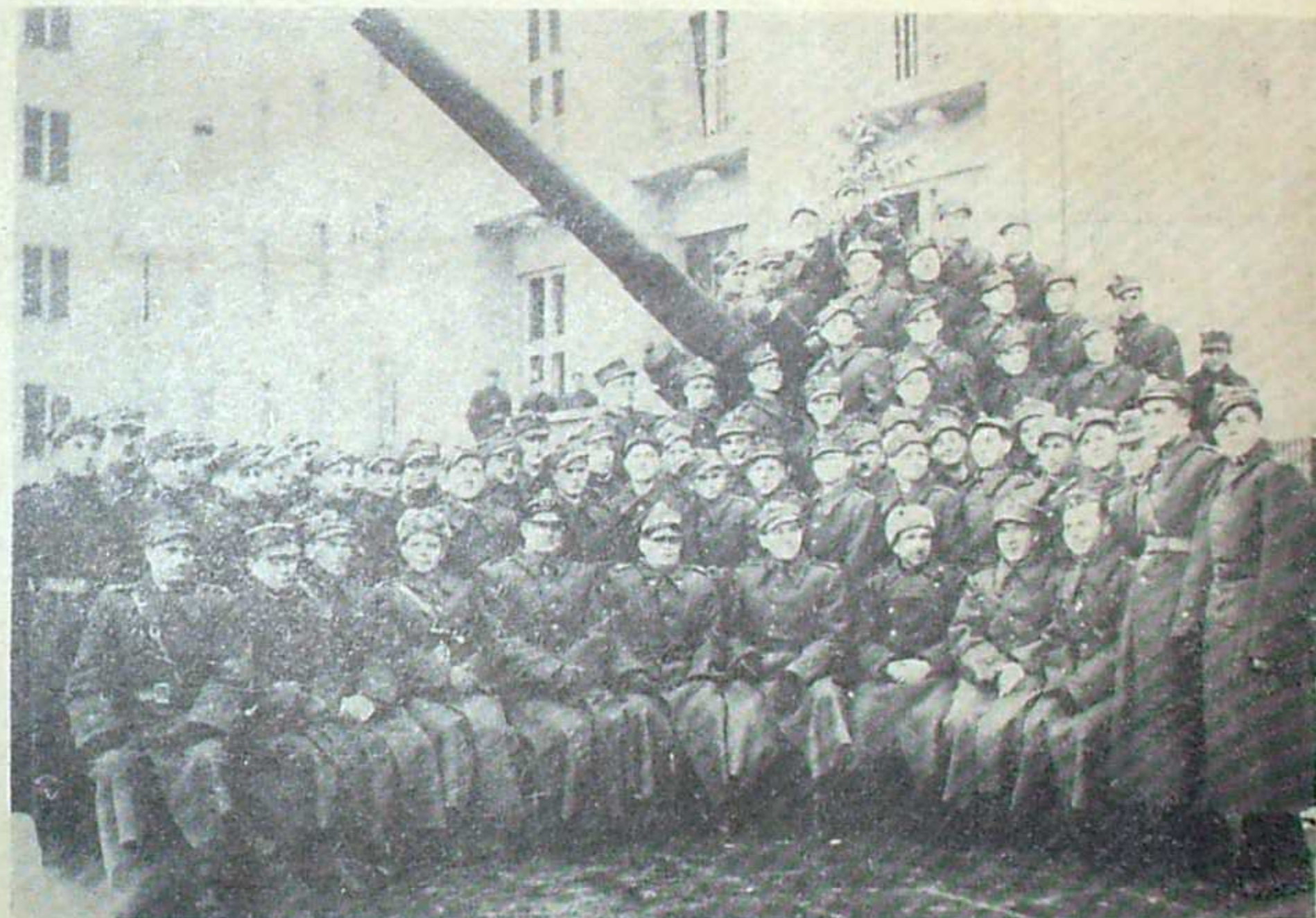
Po pierwszej promocji nastąpił szybki rozwój szkoły, która 29 października została przemianowana na I Oficerską Szkołę Artylerii. Kadra nauczycielska powiększyła się o szereg nowych wykładowców, wśród nich znalazło się 12 świeżo dyplomowanych podporuczników. Ppor. Tadeusz Serwacki objął funkcję dowódcy plutonu szkolnego a następ-

nie instruktora sprzętu artyleryjskiego.

W 1945 r. na stanowisku komendanta szkoły zastąpił plk. Huleja gen. Nalecz-Gembicki, zaś w lipcu tego samego roku komendantem został gen. bryg. Włodzimierz Klerp, pod którego dowództwem zakończył się chełmski okres I Oficerskiej Szkoły Artylerii przeniesionej następnie do Torunia i Olsztyna.

W połowie 1945 r. ppor. Tadeusz Serwacki, awansowany na porucznika, rozstaje się na zawsze ze szkołą. Otrzymuje funkcję dowódcy baterii w 41 pułku artylerii lekkiej XVI Pomorskiej Dywizji. W 1947 r. występuje z wojska. Wraca do Chełma, gdzie zdążył już założyć rodzinę. Podejmuje pracę w Państwowej Centrali Handlowej, przez dwie kadencje sprawuje funkcje prezesa Powszechnej Spółdzielni Spożywców, przez 9 lat pracuje jako kierownik kina „Zorza”, przez 7 następnych lat jest kierownikiem cegielni Horodyszcz. Kończy zaocznie Wydział Administracyjno-Prawny UMCS.

Obecny prezes Zarządu Powiatowego LOK w Chełmie, dał się poznać również jako działacz Towarzystwa Miłośników Ziemi Chełmskiej i Towarzystwa Rozwoju Ziemi Zachodnich. Dzisiaj, wracając wspomnieniami do historii sprzed lat trzydziestu, powiada: „Myślę, że tamta szkoła, oprócz wiedzy wojskowej dała mi również pierwszą prawdziwą lekcję życia. Nie tylko uczyliśmy się przewidzianych w programie przedmiotów. Nie tylko walczyliśmy z bandami pod Wierchowinami, Sawinem i Zrudzią. Był to dla nas również okres aktywnego uczestniczenia w życiu politycznym, społecznym i kulturalnym miasta. I może właśnie ze względu na ową aktywność szkoły, chociaż istniała w tym czasie w Chełmie również podchorążówka broni pancernej i łączności, właśnie Oficerska Szkoła Artylerii zapisała się najbardziej w pamięci tutejszego społeczeństwa”.



6 I 1945 r. Druga promocja w I Oficerskiej Szkole Artylerii w Chełmie. Siedzą: trzeci od lewej — d-ca 3 baterii kpt. Tron, d-ca I dywizjonu plk. Łotocki, plk. Laszko, komendant szkoły gen. Huleja, mjr. Drużew. Drugi z prawej stoi ppor. Tadeusz Serwacki.

Co wysiaduje „Stara kobieta”?

Maria Bechcyc-Rudnicka

TAK się dziwnie złożyło, że dopiero przed paru dniami wpadła mi w ręce „Podróż do źródeł czasu” Alejo Carpentiera — właśnie teraz, kiedy bledzę się nad porównaniem sztuki Różewicza „Stara kobieta wysiaduje” z jej swoistą parafrazą wypracowaną przez Kazimierza Brauna w lubelskim Teatrze im. J. Osterwy. Parafrazą? Nie, raczej tworem wizualnym gruntownie przekształcającym dramat poety. Dlaczego wymieniam najsamplierw „Los passos perdidos”, znane pilniejszym czytelnikom powieści egzotycznych już od r. 1963? Bo po tej spóźnionej lekturze przybyło mi zestawienie nadszpedzanie ponętne.

Nie żebym chciała mierzyć precyzyjną metodą psychometryczną głębię trzech różnorodnych dokonań twórczych, tylko po prostu, wskutek ich obecnego zdarzenia w mojej percepcji, stary, lecz coraz bardziej zaogniony problem: LUDZKOŚĆ A CYWILIZACJA — nabrał dla mnie specjalnej refleksyjnej aktualności, wiążącej się z konkretnym przypadkiem kulturowym.

Komena str. 2

Otóż opuszczając strefę emocjonalną utworu znakomitego Kubańczyka, oparłam się myślą na jego finalnej konkluzji:

„Jedyną rasą ludzką, która nie może oderwać się od dat, jest rasa twórców sztuki. Musi nie tylko wyjść poza przeszłość, reprezentowaną przez dotykane świadectwa, ale odgadnąć śpiew i formę tych, którzy przyjdą później stwarzając nowe świadectwa z pełną świadomością tego, co zostało zrealizowane aż do naszych czasów. (Rozstrzelenie moje — M.B.-R.)

W tym miejscu uległam pokusie naszkicowania choćby grubą kreską stosunku wymienionych twórców — do czasu bieżącego.

Prawdę powiedziawszy, relacja Różewicz — Braun od dawna była przedmiotem moich dumań. Przewidywania, jakie z tego wynikły, okazały się jednak zawodne, niechże mi będzie wolno spróbować jeszcze szczęścia postugując się jako punktem wyjścia treściami przytoczonej cytaty z innego terenu, istną gratką.

Sądzę, iż bliższe prawdy byłoby przypuszczenie, że Carpentiera, urodzonego w roku 1904 w Hawanie, jedynie przynależność do „rasy twórców sztuki” wstrzymała przed dosłowną ucieczką na stałe od swojej epoki do

„otwartych cienistych przystani romantyzmu”, do średniowiecza albo do epoki kamienia, które — tak twierdził przynajmniej w latach sześćdziesiątych — „dane nam są jeszcze w naszych czasach”, z dała od przestrzeni ogarniętych cywilizacją. I chyba w końcu akceptacja psychiczna nieodwracalności dokonanych przez cywilizację podbojów kazała Carpentierowi uczestniczyć osobiście w mnożeniu dóbr artystycznych, jak gdyby sam akt twórczy podejmował on „z pełną świadomością tego, co zostało zrealizowane aż do naszych czasów”, czyli z poczuciem odpowiedzialności rzetelnego spadkobiercy.

Kazimierz Braun, urodzony w r. 1936 (co zostało zakomunikowane na skrzydółku tomu jego „Teatru wspólnoty”), ma zgola inną strukturę psychiczną, oczywiście nie tylko z przyczyny późniejszej daty urodzenia, ale po części i za jej sprawą. Jak większość „rasy twórców sztuki” tej generacji, należy Braun do awangardy bardziej agresywnej w obrazoburstwie niż którakolwiek z minionych awangard XX wieku.

Obce więc są mu łasknoty paseistyczne. Aprobata dla tradycji teatralnych ogranicza do egzemplifikacji z zakresu teatru antycznego, pierwotnych widowisk obrzędowych, do

Dokończenie na str. 8

Wtedy

To było przed ćwierćwieczem,
kiedy matka śpiewała melodyjnym głosem
i nie chodziła jak dziś z laską,
a ojciec chorych leczył
i mnie po twarzy głaskał.
Nie było czarnej na cmentarzu płyty
ni mnie poila poezji cysterna,
choć rozumiałem zachód zlatoty.
Jeszcze wtedy nie spotkał się ze swoim losem.
Kochałem cyrk i Jules Verne'a.
Rasłem.

A później do nas przychodzili goście,
pomagałem krzątać się matce
lub wtuliwszy się w kąt otomany,
z lękiem i ciekawością
dłoń wyciągałem do książki w czerwonej okładce
i nagle rósł przede mną świat zaczarowany.

Nie rozumiałem dziwnych rzeczy,
które się w czarnych rzędach wierszy działy:
jakis szalowiec czy upiór zlorzeczył,
ksiądz gromił i dzieci płakały,
trzy świece się paliły, każda potem gasła,
upiór coś gadał do ciem i motyli,
zegar północ wybijał i na owo hasło
człowiek nóż wbijał w piersi
belkocząc o jakiejś Maryli.

Nie rozumiałem: wszystko tajemnicze —
i te o życiu i o śmierci głosem.
Ale czulem, że ktoś mnie mocny porwya za

włosy

i patrzy w moje oblicze.
Minęły lata śmierci i lata narodzin
i świat mnie wpręgnał w krąg surowych ustaw.
Znam „godziny miłości” i setki „rozpaczy godzin”
i wiem, jak cierpiał Gustaw.
Umieć już czytać z hieroglifów liter
najzwyklejsze meandry serdecznych herezji,
sam próbuję zestawiać słowa rozmaite
i co dzień się kąpię w poezji.

A jednak wiem, że nigdy już, nigdy, niestety,
nie wróci tamta chwila pierwszych wtajemniczeń,
gdy chłopiec, urzeczony magią słów poety,
w zadumie chylił głowę swą nad Mickiewiczem.

Pokłady lat

Pokłady lat odkopie, epoki i ery
i zejść znów na łęką plonącą jaskrami —
łęką swego dzieciństwa: ozon atmosfery
i kłosa nieba, którego nic w oczach nie płami.
Dotrę do swoich czterech, swoich pięciu lat
i oto obraz taki przymglony wywołam:
za oknem ciemny wieczór, przyciszony świat,
przede mną nad kanapą rubinowe kola.

Osemki i elipsy, laskotliwy dym,
który jednak nie gryzie, lecz jest dziwnie słodki:
to ojciec bawi synka papierosem swym,
a w piersi drobnej biją zachwycenia mlotki.
Jak bezpiecznie mi przy nim, choć nie widać

twary.
Taka miła zabawka: plonący żużelek.
Och, ktoś by mógł przypuścić, że ten ogień parzy,
że zagaśnie za chwilę, że zniknie w popiele!
A po latach dziesięciu na dzwonnicy strapie
uderzyły tak glucho kościelne luluje...
Zgasł papieros... Na zawsze... Został tylko popiół.
A ogień, wiem, że parzy. Jeszcze dziś go czuję.

* * *

Jak rybak w mrok zanurzam swych wierszy
więczerze,
chcąc jasnością nakarmić serce, co się żali.
Nie jestem z tych, co biernie kładą się na fali,
nie wabi mnie wygodne i zaciszne łaże.

W słońca skwarne blaski i w gwiazd migot
wierzę,
zachwyca mnie to wszystko, co się ogniem pali.
Serce świata w mych piersiach twardym młotem
wali.
pragnę przebiec najszybciej wszystkie ziemie
ścieże.

Drapieżnie pręzę woli mej ostre pazury,
by wgrzyźć się w miąższ owocu, co zwie się
przygoda.

Aby słońce zablysło, trzeba zerwać chmury,
trzeba kochać, jak uczy do młodości oda,
niezlomnie stać, jak stoją Tatry warowne mury,
dopóki z nóg nie zwali ciężka śmierci kłoda.

Ojczyzna

Tadeuszowi Bocheńskiemu

Ojczyznę moją Polskę, złotem zbóć dzwoniącą,
kumkającą zęb chorem, świergocącą ptakiem.
Lecz widząc smutek ludzi i wesele słońca,
wiem, że jestem kimś więcej niż tylko Polakiem.
Ból w każdą pierś się wgrzyza, wszyscy ludzie
placzą —
w Warszawie i w Paryżu, w Melbourne dalekim.
I płynie czarna ziemia z czarną swą rozpaczą,
i ludzie wszyscy braćmi, i jestem człowiekiem.

Ziemia zimna i twarda. Dość mi już twój jazdy.
Jak iza potworna toczysz jad ludzkiej zgnilizny.
Na księżyc patrząc błady i na drzące gwiazdy,
pragnę nieba przepaści — największej ojczyzny.

Śmierci

O śmierci wiele pisał i prozą, i wierszem
zapatrzoną w znacząco mrugający gwiazd rój.
Może była to poza, może tylko nastrój,
bo wtedy nie brzęczała koło mnie jak szerszeń.

Tu codzienną jest myśl moich towarzyszą
i ociera się o mnie jak parzywy kundel:
kolega, który wczoraj chleptał zupę łyżką,
dziś zakończył ostatnią swoją z wrogiem rundę.

Z tym pospołu głąb ziemi dziurawiłem rydłem,
z tamtym — jednym przy stole dzieliłem się zydłem
innemu list niedawno pisałem do Leśnej,
ów drażnił mnie wyglądem i słowem oblesnym.

Jednaki los was spotkał. Ponury alchemik
nie szczenił drow do pieca, wiatr nie szczenił
iskier

Buchnęliście płomieni czerwonym rozbliskim:
dym poleciał do Polski, popiół — w obcej ziemi.

Z cyklu: Serca za drutem

Twój

Twój wiecznie i niezmiennie,
dopóki starczy sił —
czy pójdę w grób pod ziemię,
czy zrzucę życia brzemień
wzlatując — gwiazdny pył.

Z cyklu: Śladem Hafiza

Na przekór

Przed moim oknem lipa — gdybyż czarnoleska...
W głębi zieleni parkowa, w górze dal niebieska.

A w parku, chociaż mały — delacje, delacje:
różowe kratogusy, złociste forsycje

i liście, świeże liście na gałązkach drzewa,
i słońce, które wszystko tak hojnie ogrzewa,

i ptaki zwariowane, upojone wiosną,
rymujące, że dla nich radosną, miłosną...

Stary koniu, coś wieku przekroczył trzy ćwierci,
czy nie lepiej, byś zaczął już myśleć o śmierci?...

Ach, myślę o niej, myślę, lecz zanim tam pójdę,
niech ją teraz przynajmniej uważam za budję.

Ośmy krzyżyk, lecz widać, iż jeszcze nie stary,
skoro na mnie działają tak wiosenne czary.

1973

Serca me stare, czemu ci tak młodo?
Bijesz posłusznie majowej batucie
radosny werbel kwitującym ogrodem,
wtórujesz ptaków skrzydłonej nuty.

Głowo gorąco, przecież jesteś srebrna,
chłód i rozsądek przystałby ci raczej,
a ty pić pragniesz z wiosennego cebra,
jakbyś śleg czasu chciała przelinać.

Nie wiem — rok jeden, dziesięć lat czy więcej
czeka mnie jeszcze do drogi mej końca,
lecz póki żyję, będę wznosił ręce
w zachwycie modląc się do gór i słońca.

Coda

Z tych wierszy, których tyle z zaciśniętej krtoni
wyrzuciłem rozrzućnie miast je tańc w sobie,
czy jeden choć przynajmniej po mnie tu zostanie
i przetrwa chwilę dłużej niż mych myśli obieg?



K. A. Jaworski (w środku) z delegacją pisarzy polskich w Związku Radzieckim (1960). Pierwszy z lewej Jerzy Putrament.

Naczelnemu Redaktorowi dwutygodnika „Kamena”

Markowi Adamowi Jaworskiemu
wyrazy najgłębszego współczucia
z powodu śmierci

OJCA

składa

Kolegium Redakcyjne
i zespół „Kamena”

Zamiast wieńców...

Wśród postanowień zawartych w
ostatniej woli Kazimierza Andrzeja
Jaworskiego znajduje się życzenie,
by Jego grobu nie zdobić wieńcami,
natomiast przeznaczony na to pie-
niądze przekazać na cel społeczny.
Respektując wolę Zmarłego pra-
cownicy „Kamena” składają równo-
wartość kwiatów na odbudowę
Zamku Królewskiego w Warszawie.

Ta brzydka nauka o zarządzaniu i organizacji

Jerzy Dostali

JESTEM pewien, że przynajmniej połowa pracowników UMCS nie wie, gdzie znajduje się Instytut Ekonomiki Produkcji, a w jego ramach Zakład Organizacji i Zarządzania. Niby w centrum miasta, bo przy ul. Dymitrowa, ale w odrapanej oficynie. Sam Zakład zaś, chociaż pracuje w nim pięć osób, ogranicza się do jednego pokoju o powierzchni 16 metrów kwadratowych, w którym głównym elementem dekoracyjnym jest gruba rura kanalizacyjna, biegnąca wzdłuż całej ściany. Ponadto jedno biurko, dwie szafy, etażerka, wieszak i trzy krzesła. Tu urzęduje — bo chyba pracować może tylko w domu — kierownik Zakładu, doc. dr Szelech, pozostali pracownicy sadowią się na sąsiednich zakładach, i na zasadzie tzw. znajomości.

Nie rozumiem, jak taką rzeczywistość można pogodzić z rolą, jaką w naszej gospodarce już pełni organizacja i zarządzanie. A przecież pełnić ma coraz większą, decydującą o rozwoju kraju. Właśnie w doskonaleniu metod organizacji i zarządzania trzeba szukać prężności zwiększania wydajności pracy.

Aby jednak tak się stało, należy, by ludzie zatrudniani w naszej gospodarce posiadali coraz wyższe kwalifikacje właśnie w... organizacji pracy i zarządzaniu. Istnieje dość powszechne, a fatalne przekonanie, że to nie specjalnie trudnego. I każdy ma na ten temat własne zdanie: stąd też z reguły nowy dyrektor przewraca przynajmniej połowę istniejącego schematu organizacyjnego, przesuwa części ludzi, gromadzi wokół siebie nowy kolektyw. Równie często następują połączenia różnych przedsiębiorstw, lub dzielenie jednego, zmienia się nazwy itp. A przecież nie na tym polega sens wprowadzania właściwej organizacji pracy.

Sytuacja taka jest rezultatem wciąż dotkliwych braków w systemie kształcenia kadr na poziomie uniwersyteckim. Sam problem lokalnego Zakładu Organizacji i Zarządzania UMCS jest tego wymownym dowodem. Formalnie biorąc, Zakład żyje jeszcze w wieku niemowlęcym, bo oficjalnie zaledwie od 1 stycznia, ale przecież w pierwotnym wcieleniu Zespołu Organizacji i Zarządzania ma już za sobą pięć lat istnienia. Wystarczająco dużo, aby zapewnić mu nie tylko możliwość do przyjęcia przestrzeni życiowej, ale i bardziej liczną kadrę. Ba — żeby tylko to! We wszystkich uczelniach świata nauka orga-

nizacji i zarządzania jest wyraźnie preferowana, obejmuje coraz większą liczbę godzin, zabierając je rozmaitym teoretycznym przedmiotom, dobrym w wieku XIX lub na początku bieżącego — ale nie teraz. Inaczej jest u nas. Nie wiem, czy jest to decyzja ministerialna, czy też uczelniana, lub z kręgów uczelni pochodząca, w każdym razie jest faktem, że od nowego roku akademickiego liczbę godzin na ten właśnie przedmiot zmniejszono z 60 do 45. Z jednym jedynym wyjątkiem — na Wydziale Pielęgniarstwa Akademii Medycznej pozostało po staremu 60 godzin. Czy trzeba tu jeszcze dołączać jakiś komentarz?

Zajęcia w Zakładzie Organizacji i Zarządzania są obowiązkowe dla studentów II i III roku Wydziału Ekonomicznego UMCS — po jednym semestrze na każdym roku. W połowie są to wykłady, a w połowie ćwiczenia. Wszyscy wiedzą, że grupa studentów w czasie ćwiczeń nie powinna obejmować więcej niż 10 osób. Tymczasem w naszej praktyce dochodzi do 30, co z góry uniemożliwia jakąkolwiek indywidualną pracę asystenta ze studentem.

Do prawdziwej tragedii mogłoby dojść w czasie egzaminów. Ze względu na terminy, w których muszą być one przeprowadzone, docent mógłby każdemu studentowi — jest ich przecież 400 — poświęcić najwyżej dziesięć minut, licząc z wejściem, wpisaniem wyniku do indeksu i wyjściem. Egzamin więc musiałby się ograniczyć do dwóch, trzech krótkich pytań, a wynik zalałaby nie od prawdziwej wiedzy studenta, ale od czystego przypadku.

Więc zespół pracowników Zakładu przygotowuje na egzamin arkusze testowe — kilka wariantów, aby sędzią obok siebie studentów po prostu nie mogli oceniać. W ten sposób pytania obejmują szerszy zakres wiedzy, w każdym wariantcie dając obraz tego, czy zdający orientuje się — i jak — w całej problematyce.

Ale na testach się nie kończy, to jakby swego rodzaju preorientacja. Każda prawidłowa odpowiedź daje studentowi z góry określoną liczbę punktów, granica punktów od-do — określony stopień. Nikt tu nie może powiedzieć, że oceniono go niesprawiedliwie. Ci studenci, którzy za testy otrzymali piątki, zostają automatycznie zwolnieni z dalszego egzaminu ustnego.

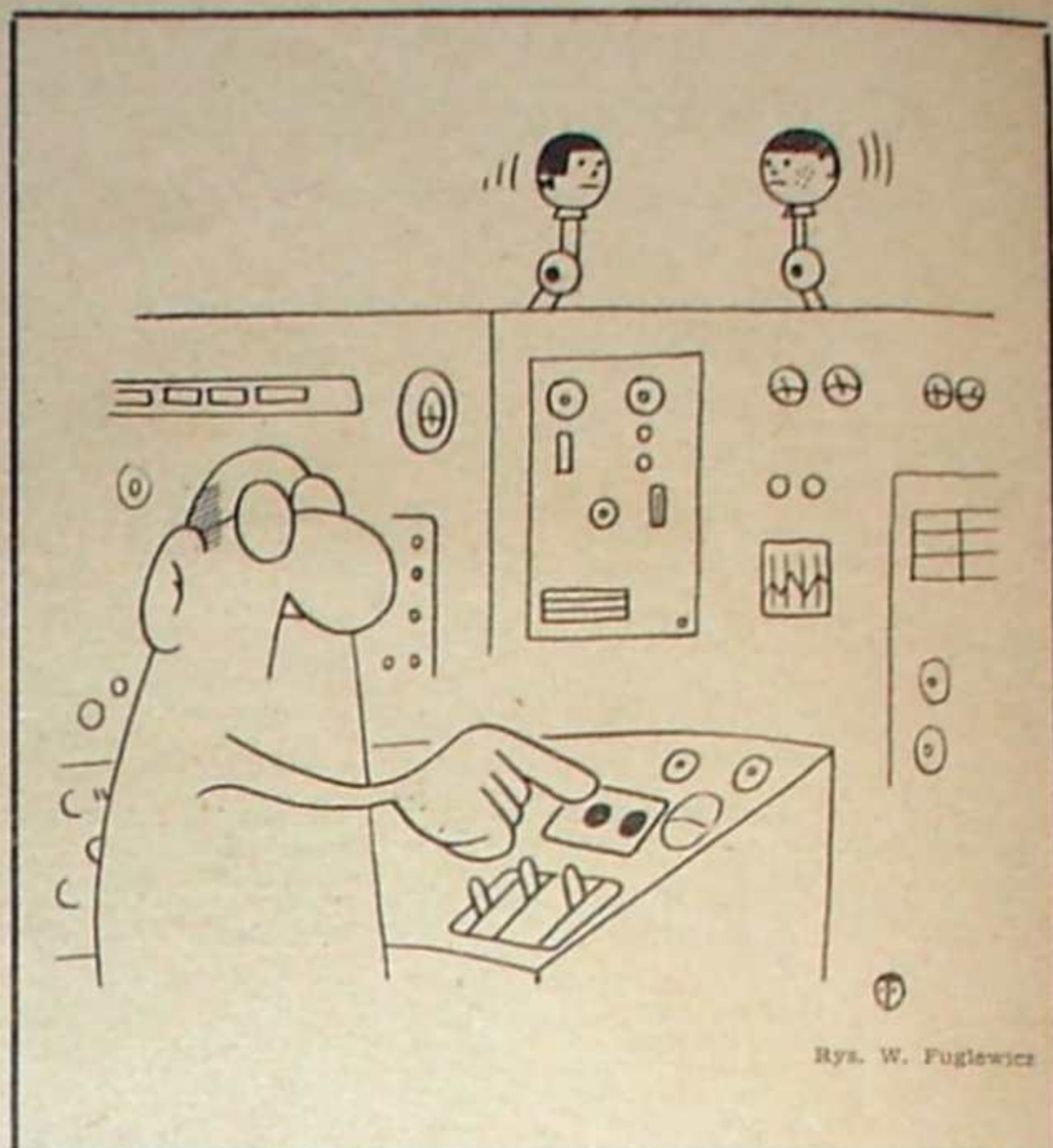
Warunki lokalowe i kadrowe, a także widoczny brak właściwego zainteresowania Zakładem w uczelni, wreszcie faktycznie — mimo różnych deklaracji — małe zapotrzebowanie na specjalistów z tej dziedziny powoduje, że „własnych” studentów Zakład ma tylko 13. Dzięki temu, że doc. dr Szelech jest jednym z konsultantów naukowych Instytutu Organizacji Przemysłu Maszynowego w Warszawie, kończący ten kierunek studenci prze-

chodzą doskonałą praktykę. Otóż we współpracy z tym Instytutem kilka grup bada stan organizacji i zarządzania w głównych fabrykach przemysłu elektromaszynowego Lubelszczyzny. Chodzi głównie o wydziały produkcyjne, będące podstawowymi jednostkami organizacyjnymi przedsiębiorstwa przemysłowego. W skład każdej grupy obok studentów wchodzi: pracownik naukowo-dydaktyczny Zakładu, naukowo-badawczy Instytutu Organizacji Przemysłu Maszynowego oraz pracownicy fabryki. Dla studentów wyniki będą podstawą napisania prac magisterskich, fabrykom przdadzą się do dalszego ulepszenia pracy na co dzień.

Marginesowo można dodać, że cała ta praca została zgłoszona na konkurs, ogłoszony przez Komitet Naukoznawstwa przy Prezydium PAN oraz Zakład Prakseologii. Organizatorom konkursu chodzi o uzyskanie informacji na temat mechanizmu funkcjonowania tego rodzaju zespołów badawczych, jak również o działalność indywidualnej i zespołowej badaczy. Rzecz w tym, że tego rodzaju badania to jeszcze pionierska robota, a nagroda w konkursie oznacza sfinansowanie przez PAN dalszych tego rodzaju badań. Osobiście widzę pilną potrzebę przeprowadzenia tego rodzaju roboty w naszym przemysle terenowym i spółdzielczości pracy.

Prof. Edward Lipiński słusznie stwierdził kiedyś, że zarządzanie, prawidłowe zarządzanie, jest czwartą siłą wytwórczą. Co najmniej na równi ze środkami produkcji, człowiekiem i techniką — zarządzanie jest głównym czynnikiem decydującym o społecznej wydajności pracy, a więc o potencjale produkcyjnym społeczeństwa. Stąd gwałtownie wzrastające zapotrzebowanie na specjalistów z tej dziedziny, stąd także pojawiający się tu i ówdzie pseudospecjaliści, mocni w gębie — rozkładający przedsiębiorstwa w praktyce.

Zapotrzebowanie wzrasta gwałtownie, a jak z przygotowaniem kadr? O niektórych niedostatkach była już mowa na początku. Niestety, nie na tym koniec. Nawet oficjalnie zarządzanie, a właściwie teoria zarządzania — choć wielu ludzi nie lubi tu używać słowa „teoria”, uważając każdą teorię za rzecz podejrzaną — była i często jest jeszcze traktowana jako nauka komplementarna w stosunku do innych. A ona dawno jest nie tylko nauką samodzielną, ale obejmuje już coraz szerszy zespół dyscyplin, jak chociażby ekonomię, elektronikę czy psychologię.



Ba — to właśnie z rejonów teorii zarządzania narodziła się nowa dyscyplina naukowa — ergonomia. Tak nowa, że podstawowe o niej wiadomości znalazły się dopiero w suplementie „Wielkiej Encyklopedii Powszechnej” PWN. Dyscyplina, opierająca się na naukach biologicznych i humanistycznych równie jak na technicznych, a dążąca do prawidłowego rozwiązania ciągnących się od wieków problemów: człowiek — maszyna, człowiek — środowisko materialne, przy zapewnieniu wysokiej sprawności i ekonomiczności działania człowieka, wykorzystującego maszynę i całe środowisko materialne, a także własne siły biologiczne i umysłowe.

Niestety — w całym województwie nie istnieje ani jedna komórka ergonomiczna. Nie ma jej żadna uczelnia, nie funkcjonuje w żadnym przedsiębiorstwie. Nikt więc u nas nie uczy tego, co w całym świecie robi zawrotną karierę. Z nauką nie ma samemu zarządzaniu też nie jest najlepiej. A wydaje się, że podstawowe pojęcia z teorii zarządzania powinny być nauczane w szkołach średnich!

Zakład Organizacji i Zarządzania UMCS prowadzi zajęcia, obowiązkowe tylko dla jednego wydziału. A czy ludzie z wyższym wykształceniem z innych dziedzin, z których w przyszłości poważna część obejmie stanowiska kierownicze, mają się tego wszystkiego uczyć dopiero w praktyce, popielniając w trw. między czasie wiele kosztownych błędów? Już nawet nie o to koszt chodzi, ale o czas. Czas, którego nie da się ani kupić, ani w żaden sposób odzyskać.

Na Wydziale Ekonomicznym UMCS są tylko dwa kierunki branżowe: ekonomika rolnictwa i ekonomika przemysłu. Bardzo ważne, potrzebne. Ale kiedy bę-

dzie również ekonomika budownictwa, ekonomika handlu, ekonomika usług — aby na tym tylko czasowo poprzestać?

Wyższa Szkoła Inżynierska kształci nam inżynierów różnych branż. Każdy z jej absolwentów jest potencjalnym kierownikiem jakiegoś wydziału produkcyjnego, wielu z nich nosi już w kieszeni buławy dyrektorów lub naczelnych inżynierów. Tymczasem zakres nauczania z dziedziny organizacji i zarządzania jest wąty i wciąż traktowany kompletnie. Jeżeli w innych naszych uczelniach studenci dowiadują się cokolwiek na te tematy, to jest to raczej przemysł, prowadzony przez poszczególnych pracowników naukowych.

Faktem jest, że naukowców, specjalistów z dziedziny organizacji i zarządzania, możemy w Lublinie policzyć na palcach. Wykształcenie własnego narybku naukowego wymaga lat. Nie zaniedbując tego, trzeba chyba rozglądać się po kraju i przynajmniej kilku przyciągnąć. Nie obejdzie się bez konkretnej, ale natychmiastowej pomocy władz administracyjnych w postaci mieszkań. To rzeczywiście twarde orzech, ale przecież do zgryzienia. Kto nie wierzy, niech pojedzie do Kiele lub Zielonej Góry i zobaczy, jak się tworzy środowiska naukowe. Takiego naśladownictwa nie trzeba się wstydić.

Mnie osobiście widzi się utworzenie w tym roku akademickim już nie doborze urzędzonego Zakładu, ale osobnego Instytutu Organizacji i Zarządzania przy UMCS, który wspomagałby czynnie inne uczelnie. Widziałbym wreszcie z początkiem przyszłego roku uruchomienie zakładu ergonomiki, służącego zarówno uczelniom jak i przemysłowi, ale rolnictwu także, a potem innym dziedzinom naszego życia gospodarczego. Kto jednak na serio zajmie się realizacją?

Polska 1973
RZECZ W KLIMACIE

Ireneusz J. Kamiński

ZOKAZJI dożynek ogólnopolskich Białystok wypocował się na wysoki polysk, kamieniczki przy ul. Lipowej i Rynku Kościuszki lśniły odnowionymi fasadami, tylko na modernizację oświetlenia ulicznego wydano dwanaście milionów złotych. Całe miasto pokryły koliste symbole dożynekowego święta, nawet właściciele prywatnych sklepików poddali się uroczystej atmosferze, polecając klientom torby sportowe z owym znakiem i stosownym napisem. Helm wieży muzealnej pokryto nową blachą miedzianą, odnowiono wnętrze klubu MPIK, który koncentruje białostockie życie towarzyskie i jest

jednym z lepszych źródeł informacji o tutejszej obyczajowości, nie licząc restauracji hotelu „Cristal” i prasowego „Klubu Siedmiu”. Sam hotel także odświeżono, co jednak nie zmieniło sytuacji akustycznej skrzydła leżącego nad ową restauracją, w której od godziny ósmej wieczorem do pierwszej w nocy straszliwie huczą kotły strasznej orkiestry, wspomaganej głosem tęgiej piewicy — nawet śmiertelnie znudzony człowiek nie jest w stanie zmużyć oka. Ale wolny turysta, który trafi do Białegostoku i tak nie może liczyć na miejsce w hotelu, bo tłok tu panuje permanentnie; delegacyjnie peregrynacje nie zelżyły tak bardzo, jak to się poniekąd autorom

wiadomej reformy wydaje. Pocięsimy się przecież: jeszcze w tym roku ruszy budowa nowego, liczącego sześć kondygnacji hotelu — o równie, podobno, wysokim standardzie. Sprawa ma zresztą sens symboliczny: po kilku latach nieporadnego przymierzania się do tej inwestycji, Białystok wznosi obiekt zachęcający ludzi z innych rejonów kraju do odwiedzin miasta, a dzieje się tak w momencie sygnowanym przez nowe władze. Może to i mala sprawa, niktąca w kontekście znacznie donioślejszych problemów Białostoczczyzny, rozwiązywanych z myślą o dniu dzisiejszym i o przyszłości, lecz dla kogoś, kto zna bliżej białostocką specyfikę społeczną, jest to fakt bar-

dzo wymowny. Województwo nakryte kompleksami, jak ciężkim baranem kożuchem, zrzuca ten przyodziełek — szyty latami w spowolnionym rytmie Mrozkowych opowieści — i występuje jako partner reszty kraju. Tereny wystawy dożynekowej, prezentującej osiągnięcia białostockiego rolnictwa (największa ostatnio dynamika wzrostu produkcji w Polsce) zajęły osiem hektarów w południowej części miasta, dokąd jedzie się niekiedy asfaltową drogą, mijającą Park Zwierzyniecki, w którym od niedawna porykują egzotyczne zwierzęta, baraszkujące w klatkach wykonanych w czynnie społecznym przez pracowników „Mo-



Białystok. Rynek Kościuszki

Fot. Z. Kadziewicz

NAŁĘCZÓW: droga pod górę

Halina Chabros

— W Nałęczowie nawet woda musi płynąć pod górę. Pani nie wierzy? Proszę popatrzeć. — Ręka mego rozmówcy, z którym stoimy nad sławetnym nałęczowskim stawem, od lat nie czyszczony i stanowiącym siedlisko brudu, bakterii, pleśni, zatoczka krąg. Rzeczywiście, rzeczka Bystra, zamiast płynąć w dół w stronę stawu, zmieniała w tym miejscu kierunek: dno stawu, do którego wpada, leży wyżej od jej własnego koryta.

— Tu w tym nałęczowskim kurorcie nie tylko labędzie zdychają, tu i ludzie nie mogą wytrzymać i kto może ucieka, gdzie pieprz rośnie. — W głosie mego rozmówcy, gdy akcentuje to słowo: kurort, jest tyleż ironii, co gorzkości.

CALA prasę polską obiegło słynne określenie dziennikarza: Lubelszczyzna mając jedno uzdrowisko, ma o jedno za dużo. Wicepremier M. Jagielski podczas bytności w Puławach wyraził zdziwienie, że pięćdziesiąt lat temu, kiedy to na ten cel nawet fundusze dewizowe. Wszystko jednak, co dotyczy Nałęczowa, rodzi się w bólu, latami, wśród szarpaniny ludzi, którym leży na sercu dobro uzdrowiska. Wielu z nich nie wytrzymuje napięcia i wyjeżdża, wielu popada w marazm i zaczyna wyznawać swoistą filozofię życiową; co mi do tego, w pojedynkę nie naprawię świata.

Opracowany w Puławach i zatwierdzony jeszcze w 1964 r. plan zagospodarowania przestrzennego został skorygowany decyzją WRN dopiero w roku 1969, choć miał tak wiele rażących błędów, że powodował w Nałęczowie wiele rozgoryczenia. Statut uzdrowiska, o którym mówiło się lata, doczekał się zatwierdzenia w 1970 roku. W 1972 roku konserwator wojewódzki uznał miasto-uzdrowisko za zespół krajoznawczo-architektoniczny, chroniony ustawą o ochronie zabytków, ale — jak na razie — przysporzyło to uzdrowisku więcej kłopotów niż pożytku. Konserwator zieleni, która obok klimatu stanowi największe bogactwo uzdrowiska, nie został dotychczas powołany.

Jeszcze w marcu br., kiedy siedziałam z nałęczowskimi działaczami, prezentującymi opracowany wspólnie przez władze partyjne i administracyjne oraz dyrekcję uzdrowiska perspektywiczny plan rozwoju Nałęczowa, udzielił mi się ich entuzjazm. Sądziliam, podobnie jak oni, że jakkolwiek pewnych dawnych kardynalnych błędów i zaniedbań, popełnionych w Nałęczowie, nie da się już odrobić, znacznie się nowa era znanego w całej Pol-

sce od 150 lat uzdrowiska. Wszyscy mówili z nadzieją o mającym wkrótce odbyć się wyjazdowym posiedzeniu prezydium WRN, o spotkaniach z członkami Rady Państwa, prof. Kozłowską.

Wyjazdowe prezydium dotychczas się nie odbyło i trudno ustalić, kiedy do niego dojdzie. (Piszę te słowa 1 września). Bo — jak mi tłumaczono w Woj. Radzie — były pilniejsze sprawy: Zamościa, lubelskiej Starówki, potem urlopy. Teraz znowu naczelnik gminy Nałęczów, Edward Piwowarek, nie może doczekać się zapowiedzianego przyjęcia w Prezydium WRN oraz narady, jaka z udziałem zainteresowanych przedstawicieli resortów wojewódzkich i centralnych miałyby poprzedzić prezydium wyjazdowe, na którym powinny zapisać wiążące decyzje.

— A przecież 22 lipca — mówi naczelnik gminy — przedstawiciele naszych władz partyjnych i administracyjnych odwiedził Nałęczów, przyrzekł pomoc, zainteresowanie. Ale w Nałęczowie woda płynie pod górę...

Kochamy Nałęczów

Cóż z tego, że wreszcie po okresie nieoświeconych rządów i nie najszczęśliwszych zmian (przedostatni naczelnik gminy zagroził miejsce na swoim stołcu zaledwie kilka miesięcy i zdążył tylko przenieść bibliotekę miejską z budynku prezydium do pękających w szwach miniaturowych pomieszczeń domu noszącego szumną nazwę Domu Kultury). Do Nałęczowa zaczynają przychodzić ludzie zapaleni, energiczni. Nowy naczelnik, E. Piwowarek, nowy zastępca dyrektora uzdrowiska d/s technicznych, inż. Woj-

Dokończenie na str. 8

stostalu". Lwy, antylopa, koczokodan i ostrosnoy zostały wypożyczone przez Prezydium MRN w Płocku. „Chodziło o to, aby bez rumieńców można było pokazać dożytkowym gościom zwierzyńiec, a jednocześnie uzyskać wśród białostoczan sympatyków dla idei budowy ogrodu zoologicznego z prawdziwego zdarzenia” — komentuje „Gazeta Białostocka”.

Pawilony wystawowe przypominają fińskie osiedle skojarzone z nieodłącznym lasem, nie są to prozoryczne budki, aby do jutra, lecz całkiem solidne obiekty o urozmaiconej architekturze, które w przyszłości służyć będą różnego rodzaju ekspozycjom wojewódzkim, może także ogólnopolskim.

Białostoczczyzna postawiła na hodowlę, jako że ziemia tu lżeja, a trawy nieleżą, po pas, zdrowe i pożywne. I choć niektórzy rolnicy, jak na przykład Franciszek Niwiński z powiatu białskiego, potrafią wydusić z tej słabej gleby i 40 kwintali pszenicy z hektara, to przecież o profilu produkcji rolnej województwa decyduje liczebność bydła, trzody chlewnej i owiec. Białostocką dynamikę rozwoju produkcji zwierzęcej określa wskaźnik 199, podczas gdy średnia krajowa — 141,3. Zrozumiałe zatem, że szczególnie reprezentacyjne stanowiska przeznaczono na wystawie krowom „Akacji” z POHZ w Grabowie (6200 i mleka o zawartości 4,1 proc. tłuszczu), „Dyszy” Józefa Gorajewskiego z Żarnowa i oraz państwowej „Reducie” z Ruskiej Wsi, której mleko tłuste, niczym śmietana. W skupie mleka już w ubiegłym roku województwo przekroczyło zadania wyznaczone na koniec bieżącej pięcioletki.

Istotne przy tym, że rozwojowi produkcji rolnej towarzyszy intensywna rozbudowa przemysłu mle-

czarskiego, mięsnego, a także cukrowniczego, jajczarsko-drobiarskiego i ziemniaczanego. Aktualnie, jeśli chodzi o największe inwestycje, wznoszone są: wielka cukrownia w Łapach i zakłady mięsne w Elku, szczyt nowoczesności technicznej i technologicznej, oparty o automatyczne sterowanie procesów produkcyjnych. Nie można przecież oczekiwać, że przetwórcie te do końca rozwiążą sprawę zagospodarowania surowców roślinnych i zwierzęcych na Białostoczczyźnie. Konieczność budowy dalszych zakładów, np. mięsnych, nie ulega wątpliwości.

Białostoczczyzna odniosła poważny sukces gospodarczy, co znalazło odbicie w prasie krajowej, która prześciga się w chwaleńcu województwa, stanowiącego do niedawna całkiem wzdłużne zagłębie krytycznych tematów. Przy okazji wskazuje się na nienadzwyczajne warunki naturalne regionu, pozbawionego gleb najlepszych, leżącego w strefie klimatycznej skracającej okres wegetacji, co wpływa nie tylko na wyniki produkcji roślinnej i pośrednio zwierzęcej, ale również na organizację pracy, sprzężenie prac polowych, zwiększenie nakładów ludzkiego wysiłku etc. Akcentuje się niekorzystną sytuację demograficzną wsi białostockiej, która pod względem awansowania wieku mieszkańców zajmuje drugie miejsce w kraju i liczy dziesięć tysięcy gospodarstw będących w rękach ludzi w wieku poprodukcyjnym, nie posiadających następców...

To wszystko prawda, ale nieco nadużywana w dziennikarskiej obróbie, nacelowanej na udowodnienie, że i na piasku wyrosnąć może pszenica, jeśli podejść się do sprawy z głową. W tym chórze chwaleńcy — słuszenie przecież — jakoś nikt nie chce zauważyć, że Białostoczczyzna zawsze miała i ma dogodne warunki do hodowli bydła i trzody chlewnej,

TEATR Polski Ludowej zdobył sobie zasłużone uznanie w kraju i za granicą. Pielnie sukcesy powstają jednak nieraz w jakże ciężkich warunkach. Wiadomo bowiem, że baza lokalowo-techniczna wielu naszych i to niekiedy — czołowych — scen często jeszcze pozostawia wiele do życzenia.

Stian niektórych spośród 120 gmachów teatralnych jest niezadowolający. Ostatnio jednak sytuacja w tej dziedzinie ulega zmianie. Zostaną przydzielone poważne fundusze na budowę nowych obiektów, znaleziono środki na remonty najbardziej zagrożonych.

Nigdy jeszcze po wojnie nie znajdowało się w budowie tyle gmachów teatralnych co obecnie. I tak na przykład w Opolu na ukończeniu są prace nad wzniesieniem budynku Teatru Dramatycznego o wysokim standardzie i nowoczesnych urządzeniach technicznych sceny. Teatr będzie mógł pomieścić 73 widzów. Zostanie on oddany do użytku w roku przyszłym. Również na przyszły rok przewidziane jest zakończenie przebudowy nieczynnego od dwóch lat Teatru Powszechnego w Warszawie. Teatr ten, dysponujący dotychczas 300 miejscami, będzie mógł pomieścić 600 widzów. Teatr Wielki w Warszawie rozpocznie w przyszłym roku budowę nowego magazynu na dekoracje.

W 1974 roku rozpocznie się też budowa nowego gmachu teatru w Lublinie. Obiekt ten pomieści dwie sale — na 800

Nie tylko w Lublinie

NOWE GMACHY TEATRALNE

i na 300 miejsc. Na mniejszej będą projektowane między innymi inscenizacje eksperymentalne. Nowy budynek teatralny przy placu Granwaldzkim otrzyma Gdynia. Rozpoczeta w ubiegłym roku budowa ma być ukończona w 1975 roku. Również i ten teatr mieć będzie dwie sale — dużą na 700 i mniejszą — na 120 miejsc.

Na 1976 rok planowane jest rozpoczęcie budowy nowego locum dla Teatru Dramatycznego w Gdańsku. Teatr o kubaturze 210 tys. m³ będzie posiadał obszerne zaplecze, m. in. hotel dla aktorów, kawiarnię, bufet itp. oraz pomieści w dwóch salach 1150 i 300 osób. Koszt budowy tej placówki przewidziany jest na około 400 mln złotych.

Szczecin, który właściciel nie miał dotychczas gmachu teatralnego z „prawdziwego zdarzenia” i korzystał z obiektów adaptowanych, otrzyma nowy, wielofunkcyjny teatr. Jego budowa rozpocznie się w 1976 roku. W nowym teatrze odbywać się będą zarówno widowiska muzyczne jak i dramatyczne. Sala przeznaczona na widowiska muzyczne pomieści 1000 widzów, na dramatyczne — 600. Podobnie wielofunkcyjny teatr otrzyma za kilka lat Kraków. Będzie to pierwszy gmach teatralny, który powstanie w naszym stuleciu w tym mieście. Sala przeznaczona na widowiska muzyczne — opery, operetki, balety — będzie miała 1205 miejsc, na dramatyczne — 600. Koszt budowy wyniesie około 400 mln złotych.

W roku 1977 przewidziane są prace modernizacyjne starego gmachu opery we Wrocławiu oraz budowa nowego gmachu, z przeznaczaniem na widowiska muzyczne, operetki itp. Całość pomieści 900 widzów.

Nowe teatry powstaną także w Kielcach i Bydgoszczy. W tym ostatnim mieście duża sala przyszłego teatru obłożona jest na 1100 widzów, a mniejsza na 200. Sala ta służyć będzie wyłącznie potrzebom telewizyjnym.

Kapitałne remonty i zabiegi modernizacyjne przewidziane są między innymi w teatrach Grudziądz, Kalisz, Warszawa.

(STS)

Artykuł dyskusyjny

Studenckie praktyki robotnicze

Maciej Podgórski

POMYSŁY na organizację studenckich praktyk robotniczych z roku na rok — gwałtownie mówią — ewoluują, wprowadzają się innowacje, tworzy przepisy, powołuje urzędowe instancje „do spraw”. Z początkiem tego roku na przykład stworzono przy Ministerstwie Szkolnictwa Wyższego i Techniki komisję (Komisję?), która opracowuje wytyczne dla organizacji studenckich praktyk robotniczych, mające obowiązywać już od ... przyszłego roku. Może to wszystko znaczy, iż sprawa rozwija się pomyślnie, skutecznie ulepsza. Ale może to znaczy również, że owo przedsięwzięcie, w założeniach ważne i słuszne, nie we wszystkim oparte było na dokładnym rozpoznaniu warunków i możliwości jego spełnienia. Gdy balmy się powiedzieć, że uruchomiono je bez tego rozpoznania. W każdym razie sytuacja nadal nie jest zadowolająca i nadal nie widać rozwiązania dla pewnych kwestii.

Od ubiegłego roku obowiązek wakacyjnej praktyki robotniczej ograniczono do studentów tak zwanych grup „zerowych”, czyli osób, które dostały się w lipcu na studia i przed rozpoczęciem akademickiej nauki na I roku muszą owe praktyki zaliczyć. Częściowo tylko w praktykach robotniczych uczestniczą także studenci po I roku, którzy w poprzednie wakacje z jakichś względów praktyk tych nie zaliczyli. Więc głównie sprawa dotyczy studentów nowo przyjętych, gdyż jeśli idzie o roczniki starsze, to na wielu kierunkach już po II roku studiów wprowadzono praktyki zawodowe, gdzieś tam nawet i po I roku.

Zatem wpraw maturzysta przygotowuje się i trzyma, żeby ową maturę zdać. Następnie zaraz przygoto-

wuje się i trzyma, żeby dostać się na studia. A jak tylko zostanie „beanem”, z miejsca czeka go miesiąc pracy fizycznej. Dobrze, jeśli praktyka robotnicza wypadnie w sierpniu. Bo gdy wypadnie we wrześniu, to prawie prosto z roboty „bean” ląduje na uczelni, gdzie czeka go szczególnie ciężki I rok studiów. I ja się pytam, czy nie za dużo tych wysiłków w tak krótkim czasie? Przynajmniej w ten sposób to oceniają niektórzy rodzice, gotowi — bywało — zapłacić i trzy tysiące złotych, żeby tylko latorośl swoją, na studia wstępującą, od praktyki robotniczej uchronić. Oczywiście, takie rodzicielskie postawy są wychowawczo nad wyraz szkodliwe, gdyż nie można tu czynić żadnych „bananowych” wyjątków, poza przypadkami, gdy przyszły student w czasie wakacji będzie pracował w gospodarstwie rolnym własnych rodziców, bo jest tam faktycznie nieodzowny (co potwierdza odpowiednia GRN). Ale nawet rygorystyczne przestrzeganie wszelkich przepisów, kto pod sankcją relegowania ze studiów musi zaliczyć praktyki robotnicze, nie gwarantuje, że zaliczą te prace wszyscy do tego zobowiązani.

Pomijam wypadki, kiedy student podejmuje pracę i się od niej uchyla (w ubiegłym roku było w skali kraju 181 takich osób, 26 skreślono z listy studentów). Myślę natomiast o sytuacji, kiedy po prostu brak tak zwanego frontu robót dla młodzieży i trzeba odbywanie praktyki odroczyć.

Dokończenie na str. 10—11

a więc tych dziedzin gospodarki, które aktualnie preferuje. W przeszłości nie potrafiono jednak wykozystać owych sprzyjających okoliczności, dość powiedzieć, że do roku 1960 nie istniał na Białostoczczyźnie przemysł mięsny, pierwsze zakłady uruchomiono dopiero trzy lata temu. Przyczyny tego stanu rzeczy były złożone, po części wiązały się z ukladami o charakterze lokalnym, po części — z ogólniejszymi kwestiami polityki rolnej. I w tym miejscu wyłania się, w przekonaniu autora, istotne źródło aktualnej hossy gospodarczej tego województwa.

Otóż nowe władze białostockie kierują województwem w bezpośrednim kontakcie ze społeczeństwem, umiejętnie wyzwalają ambicje, szczególnie uwagę zwracając na ludzi mądrych, wyróżniających się aktywnością zawodową i obywatelską. To niby prosta recepta na sukces sprawnego rządu, ale czy wszędzie i zawsze potrafi się z niej korzystać?

Aby nie być gołosłownym, kilka przykładów charakterystycznych naszkicowany model. Po pierwsze: Komitet Wojewódzki PZPR powołał tzw. grupę konsultantów, składającą się ze stu światłych rolników województwa, którzy osiągnęli najlepsze wyniki w produkcji rolnej. Raz na kwartał zespół ten zbiera się w siedzibie KW, gdzie wspólnie z innymi specjalistami i kierownikami gospodarki rolnej omawia najważniejsze problemy ekonomiczne wsi. Czy może być lepsza forma zbliżenia między władzą a obywatelem, czy spotkał się z lepszym systemem transmisji społecznej, tak nośnym informacyjnie i po prostu mądrym? Wspomniana grupa składa się z ludzi posiadających tytuły „wzorowego rolnika” i „mistrza produkcji rolnej”, uzyskane w ramach konkursu „Wies białostocka — gospodarna

i kulturalna”. W ubiegłym roku uczestniczyło w nim ponad dwa tysiące wsi i ponad 9,5 tysiąca rolników, w obecnym — 1628 wsi (12,478 gospodarstw) i 13 tysięcy rolników. Ubiegłoroczny konkurs udowodnił, że mistrzowie produkcji rolnej gospodarują lepiej od innych mieszkańców, osiągają wyniki wyższe od średnich wojewódzkich: w plonach zbóż o 43 proc., ziemniaków — o 71 proc., sprzedaży żywyca — o 300 proc., mleka — o 220 proc. Wyimowne to liczby.

Niedawno w Prezydium WRN otwarto Złotą Księgę Inicjatyw, do której wpisano nazwiska 49 osób zatrudnionych dla Białostoczczyzny, w tym 19 rolników, a wszyscy mistrzowie produkcji rolnej 1973 zostali przedstawieni w okolicznościowym wydawnictwie, wydrukowanym w nakładzie 5000 egzemplarzy.

W Białymstoku wyczuwa się dziś inny, powiedziałbym, zdrowy klimat społeczny. Dziś w Komitecie Wojewódzkim, w odpowiedzi na pytanie o stan kultury w mieście i województwie, słyszę, że instancja nie jest zadowolona z sytuacji, że w tej dziedzinie pozostało do naprawy więcej, niż w innych rejonach życia społecznego. A kiedy pytam plastyków, jak jest, po raz pierwszy od wielu lat słyszę, że jest dobrze. Trudno zresztą o inną ocenę sytuacji: z okazji dożynek wniesiono w w mieście, w okolicach dworca kolejowego, zespół centralnie uszeregowanych pawilonów wystawienniczych w kształcie rotundy, obeliskowych falstaj, aluminiową blachą, co przydaje im uroku budowli przyszłego wieku. (Co prawda majster budowy twierdzi, że w miesiącu po oddaniu trzeba będzie przystąpić do remontu obiektów, ale to chyba

przesada). W tych pawilonach będzie prezentowany dorobek plenerów w Białowieży i Hajnówce — pod postacią stałej galerii. Osobiście proponuję, aby jeden z nich (część?) przeznaczyc na stałą ekspozycję rzeźby Alfonsa Karnego; w żadnym wypadku nie należy lokować dorobku artysty w remontowanym właśnie „Arsenale”, którego oddanie do użytku przewidziano na lipiec przyszłego roku — po siedmiu latach babrarniny. „Arsenal” winien być miejscem przepływu informacji — m. in. pod postacią dzieł plastycznych — o aktualnych zjawiskach sztuki.

Dalej o aktualnie panującym klimacie białostockim: w redakcji „Gazety Białostockiej” pojawił się dziennikarz, który wyemigrował z Lublina i Krakowa, a w obecnym miejscu pracy bardzo sobie chwali panującą tam atmosferę. W Komitecie mówią: oczekujemy na ludzi zdolnych, chętnie przyjmujemy pisarzy i dziennikarzy, dajemy mieszkania. Sprawdziłem: dają.

Na koniec zaś mała sensacja: zaciekle bojownik z głupotą i bezprawiem, autor głośniejszych reportaży i „Konopielki”, Edward Redliński chwali Białostoczczyznę na łamach „Kultury”. Po raz pierwszy od wielu lat.

Towarzysz Zdzisław Kurowski, pierwszy sekretarz KW w Białymstoku, w rozmowie z autorem niniejszej prezentacji powiedział: — Społeczeństwo Białostoczczyzny uwierzyło we własne siły.

Kamena str. 5

TEGOROCZNY Międzynarodowy Kongres Słowianistów wybrał sobie jako problem zasadniczy romantyzm w krajach słowiańskich, które w większości przypadków walczyły w tej dobie o niezależny byt państwowy, o nową świadomość narodową i indywidualną, o demokrację życia społecznego i politycznego. Dążenia romantyzmu ujawniające się w wystąpieniach zbrojnych, w enuncjacji o charakterze politycznym i społecznym wielkich ideologów epoki, znalazły miejsce w literaturze, której przypadki w udziale zaszczyt kształtowania i przekazywania najważniejszych wzorców ideologicznych, moralnych i artystycznych tamtych czasów.

Obrazy Kongresu pozwoliły na stworzenie słowiańskiego kontekstu badawczego dla poszczególnych literatur narodowych, na ukazanie podobieństw i różnic w procesach historycznoliterackich, słowem — na próbę integracji badań nad romantyzmem.

Jednym z istotnych elementów ideologii romantyzmu całej Słowiańszczyzny — jak zauważył M. Jakóbiak — było poczucie jedności plemiennego operujące się o przekonanie, iż wielka przeszłość i nie wyzyskane wartości moralne przedstępują narody słowiańskie do odegrania wyjątkowej roli w przyszłości świata. Interpretacje tej idei na gruncie literatury słowiańskich — zbieżne bądź odmienne — można uznać za jedną z podstaw do przeprowadzenia typologii literatur narodowych u progu ich nowoczesnej historii.

Przy próbach „słowiańskiego” widzenia bogatej i różnorodnej problematyki romantyzmu słowiańskich musiały również dojść do głosu zagadnienia dotyczące ogólnoeuropejskich tendencji kultury tamtej epoki. Na wyróżnienie zasługują tu referaty M. Janion — „Romantyzm polski wśród romantyzmów europejskich”, K. Wyki — „Romantyzm w kulturze polskiej”, Z. Stefanowski — „O dantejskości III części Dziadów Mickiewicza”, W. Weintrauba (USA) — „Perypetie romantycznej profesury: Mickiewicz, Michelet i Quinet w Collège

de France” i wiele innych, którym z braku miejsca nie poświęca się uwagi.

Problematyka centralna Kongresu nie ograniczała się do ram czasowych XIX wieku, lecz często i chętnie wykraczała poza nie, by ujawnić ciągle istniejące więzi z epoką romantyzmu poprzez wszystkie kreacje tradycji, które on inspirował. Wystarczy przywołać tu znakomity referat S. Skwarczyńskiej — „Wyspiańskiego symboliczny dramat narodowy jako nowa odmiana rodzajowa polskiego dramatu narodowego” a także wystąpienie K. Wyki. Wszystkie referaty znane były uczestnikom z opasłego tomu streszczeń referatów i komunikatów, który przynajmniej sygnalizował omawiany zespół zagadnień. Jak na każdym Kongresie najważniejsze okazały się dyskusje, rozmowy kulturalowe, prywatne spotkania uczonych.

Nie jestem w stanie zobiektywizować sobie całości problematyki ani osiągnąć tego gigantycznego spotkania sławistów. Każdy z uczestników wybierał dowolne referaty, dowolne sekcje na zasadzie prywatnych zainteresowań. Przeżywał fascynację i zawody, spotykał dawnych znajomych, nawiązywał nowe kontakty i... padał ze zmęczenia, ponieważ cały ten tydzień był niezmiernie pracowity. Dla mnie osobliwie najciekawsza była dyskusja, która wywiązała się po referacie D. Durisina z Czechosłowacji na temat metodologicznych problemów porównawczej syntezy literatury romantyzmu. Dyskusja toczyła się wokół centralnego zagadnienia współczesnej humanistyki, mianowicie — w jaki sposób jest możliwa historia. M. Janion mówiła o kilku możliwościach: historii autora, historii odbiorcy, dzieła, gatunków, toposów i procesu historycznoliterackiego. Każda z tych koncepcji zawiera sporo pozytywów, ale ma także niedostatki. W. Weintraub z USA wskazał na kryzys historii na Zachodzie, gdzie jest ona determinowana innymi niż nasze zasadami światopoglądowymi.

Rozległość horyzontów tej dyskusji, w której uczestniczyło wielu członków Kongresu, najwyraźniej podkreślała konieczność i sensowność konfrontacji myśli naukowej.

Po owej próbie fragmentarycznego opisu prac Kongresu — pora na niedyskrete. UMCS był reprezentowany przez liczną grupę polonistów, rusycystów oraz anglistów. Prof. L. Kaczmarek — dyrektor Instytutu Filologii Polskiej UMCS zgłosił pięciu asystentów Instytutu do prac pomocniczych, głównie sekretarzowania obrad. Tak więc, wraz z samodzielnymi pracownikami naukowymi (prof. dr J. Garbaczowska, prof. dr L. Kaczmarek oraz doc. hab. dr S. Skubalanka) polonistka UMCS wystąpiła w sporym składzie. Pierwsze spotkanie całego zespołu nastąpiło na raurcie w PKiN w sali M. Skłodowskiej-Curie, gdzie podobno — jak wieść niesie — kilka osób widziało na własne oczy jakieś kielszki i kanapki, a kilka przyznawało się do konsumpcji. Ze względu na panującą halas, tłok i temperaturę, możliwości porozumienia się były niewielkie, więc setki osób szybko zrezygnowały z tej podniosłej uroczystości i do późnej nocy widziało je (znak rozpoznawczy — plakietka z nazwiskiem i przynależnością państwową) w okolicach pasażu na ścianie wschodniej w zacisznych kawiarniach i winiarniach.

Cały zespół miał również okazję do zmanifestowania lokalnej dumy z powodu sukcesu, jaki odniósł nasz kolega, dr J. T. Kania swoim wystąpieniem na temat fonetyki współczesnej polszczyzny potocznej.

Bez względu na pozytywne i niedostatki, VII Międzynarodowy Kongres Słowianistów w Warszawie należy uznać za imprezę niezwyklej wagi dla życia kulturalnego kraju. Przede wszystkim była to znakomita okazja do zaprezentowania światu polskiej myśli naukowej w kilku dziedzinach współczesnej humanistyki i okazało się, że możemy mieć powody do dumy. Była to także okazja do konfrontacji stanowisk metodologicznych, do uzyskania rzetelnej informacji naukowej oraz stworzenia forum dobrze i szeroko pojętej dyskusji.

— Pięćdziesiąt lat na scenie, szmat życia związanego z teatrem i szmat biografii w ogóle. W takich przypadkach ma się ochotę spytać, jak to się zaczęło i jak to wtedy wyglądało? — zwracam się do Aleksandra Aleksandra, aktora od lat związanego ze sceną lubelską, członka znanego miłośnikom i pracownikom teatru w całej Polsce.

— Wyglądało to wszystko wówczas, oczywiście, nieco inaczej niż dzisiaj, a zaczęło się w 1922 roku w Wilnie, skąd pochodził i gdzie przy Teatrze im. Syrokomli zacząłem uczyć się na kursa dramatyczne, wieczorowe. Szkolnictwo artystyczne już wtedy w Polsce wprawdzie istniało, w Warszawie była szkoła aktorska, w Poznaniu podobną szkołę prowadziła Szczurkiewiczowa, we Lwowie działała najlepsza chyba wtedy w Polsce szkoła, kierowana przez Franciszka Frączkowskiego, ale Wilno nie miało szkoły i pozostawały te kursa, prowadzone przez aktorów, Edwarda Stryckiego, Emmę Dąbrowską między innymi. Już w 1923 roku jako bardzo młody kursant otrzymałem rolę w wodewilu Anczyca „Polacy w Ameryce”. W tym samym roku teatr ten został zlikwidowany, gdyż budowla ratusza miejskiego, gdzie działał, była zbyt stara i nie nadawała się na te cele. Ratusz stoi tam do dziś, a scenę ulokowano wtedy na Wielkiej Półulance, w śródmieściu Wilna, i nazwano Teatrem Wielkim. Nowy budynek; na owe czasy teatr nowoczesny, choć jeszcze bez sceny obrotowej. Kierował tym teatrem Henryk Cepnik i zostalem przez niego zaangażowany.

— Czyli żeby rozpocząć karierę aktorską, nie trzeba było wtedy formalnych studiów?

— Niekoniecznie. Przychodził chłopak młody i jeśli miał talent,

to go przyuczano do zawodu, a potem już grał. Ale ja chciałem się uczyć, studiować sztukę aktorską, i to nawet wbrew woli ojca, który mnie widział w przyszłości jako księdza albo prawnika, a nie aktora. Pojechałem właśnie do Lwowa, do szkoły Frączkowskiego. Egzamin wstępny zdałem i przyjęto mnie z miejsca na II rok. Ale ponieważ przejechałem do Lwowa tak jak stałem, więc powstała kwestia pieniędzy, bo czesne za naukę było bardzo wysokie, 50 złotych. To czesne zapłacił mi „Bratniak”, przez wszystkie lata studiów. A w pierwszych miesiącach żywiłem się i przeklemałem jakoś dzięki pomocy samego Frączkowskiego, który polecił mi swemu przyjacielowi, właścicielowi najwybitniejszego wówczas we Lwowie lokalu i hotelu „George”. Tam w pokoju kelnerskim serwowano mi za darmo obiady, a nawet walówki, czyli, jak byśmy dzisiaj powiedzieli, suchy prowiant dla mnie i kolegów. Pamiętajcie te czasy dokładnie. „George” mieścił się na Placu Mariackim, zaś akademii dramatyczna, jak ją sumnie zwano, przy ulicy Chorążczyz 7.

— Społeczna ranga zawodu wtedy?

— Już bardzo wysoka. Dawno przeminęły czasy, kiedy aktora nie chcieli chować nawet na poświęconej ziemi. Aczkolwiek sam start w zawodzie nie był lekki. Przy uczelni była tak zwana młoda scena, gdzie codziennie odbywały się spektakle z normalną publicznością. Musieliśmy robić wszystko, od przybijania gwóźdź i ustawiania reflektorów począwszy, a na graniu skończywszy. No i normalne studia. Przypominam sobie, że literaturę polską wykładał Stanisław Wasylewski, zaś starożytną Jan Parandowski. Już pod koniec studiów zo-

Zbliża narody...

— Był pan członkiem delegacji lubelskiego środowiska naukowego na VII Międzynarodowy Kongres Słowianistów, który w dniach 21—27 sierpnia br. obradował w Warszawie. Czy fakt osobistego uczestnictwa lubelskich sławistów w Kongresie był ich jedynym wkładem w prace tego sławistycznego forum? — pytam doc. dr. Stefana Warcholę z Instytutu Filologii Rosyjskiej i Słowiańskiej UMCS.

— Nie jedynym, oczywiście. XXVII tom „Annales UMCS”, dedykowany Kongresowi i wydany przed jego rozpoczęciem przy współpracy dyrektora naszego Instytutu, prof. dr. Pawła Smoczyńskiego, zawiera artykuły poświęcone problematyce sławistycznej, w większości prace z naszego Instytutu. Ponadto, a może przede wszystkim, w ogólnopolskim wydawnictwie seryjnym „Z polskich studiów sławistycznych”, wydanym w 1972 roku i zawierającym prace bezpośrednio związane z kongresowymi obradami, spośród lubelskich naukowców publikują swoje artykuły: doc. dr Bronisława Lindert, dr Józef T. Kania oraz ja. Są to prace językoznawcze.

— Przeglądałem książkę streszczeń referatów i komunikatów badawczych zgłoszonych na Kongres. Jest tam przedrukowany skrót tylko tego drugiego artykułu. Dlaczego brak choćby pozostałych dwu? — Nie umiem panu odpowiedzieć na to pytanie. Przypuszczam, że, jak zwykle, zadziałał tu jakiś niedowład organizacyjny. Tylko problem, z czyjej strony?

— Na to z kolei mnie brak odpowiedzi. Ale przejdźmy do rzeczy ciekawszych. Jest pan językoznawcą i mówiliśmy tu o artykułach językoznawczych. Czy oznacza to, że współczesna sławistyka ogranicza się jedynie do tych problemów? — Nie. Ale problematyka językoznawcza jest najszerzej podejmowana, co znalazło odbicie i w pracach Kongresu, którego połowa uczestników to właśnie językoznawcy. Szczególnie zainteresowanie wywołał referat prof. Olescha z NRF o wymiarach w XVII wieku języku staropolskim, odczyt wygłoszony właśnie w tym języku, który Olesch zrekonstruował na podstawie nazewnictwa geograficznego, ksiąg klasztornych i zapisków niemieckich badaczy folkloru z

XVII wieku. Kongres obradował w pięciu sekcjach: językoznawczej, literaturoznawczej, lingwistyczno-literaturoznawczej, folklorystycznej i zajmującej się ogólnosławistycznymi problemami historycznymi. Sensacją w sekcji folklorystycznej wzbudził referat prof. Perkowskiego z USA,



Doc. dr Stefan Warchol

dotyczący obyczajów społeczności kaszubskich zamieszkujących w Stanach Zjednoczonych i Kanadzie. Już stąd widać, jak szeroka była problematyka Kongresu i jaka jest rola sławistyki we współczesnym świecie. Słusznie chyba powiedział przewodniczący delegacji radzieckiej, prof. Aleksiejew, podczas otwarcia obrad — „Sławistyka zbliża narody”.

— Jest to bardzo piękne, szczególnie, jeśli wziąć pod uwagę, że obrady Kongresu skupiły blisko 3000 ludzi z najrozmaitszych krajów. Tyle że mowa o pozytywach nieco jakby pozanaukowych, towarzyskich. Prof. Wyka wspominał kiedyś, że w prasie krakowskiej znalazł zgłoszenie o obronie pracy doktorskiej na temat: „Wpływ nawożenia organiczno-mineralnego na wzrost wielkości plonu i zawartości niektórych wskaźników na odmianach pszenek”. Współczesna nauka, rzecz znana, ma w ogóle tendencję do specjalizacji i atomizacji zainteresowań, językoznawstwo zaś uważane jest potocznie za dyscyplinę raczej wąską, szczególnie, gdy się uwzględni możliwość pojedynczego badacza, a z drugiej strony rozrastanie się narzędzi badawczych i zakresu specjalistycznej problematyki. Na podstawie własnych doświadczeń jak pan ocenia przydatność swojej dyscypliny dla współczesnego człowieka, biorąc pod uwagę szersze cele humanistyki?

— Nie wszystko daje się sprowadzić do bezpośrednich celów użytkowych. W Polsce ponadto szwankuje nieco koordynacja między poszczególnymi dyscyplinami naukowymi, a już z pewnością szwankuje informacja naukowa. Doktorant, podejmując jakiś temat, nie ma pewności, czy ktoś już równocześnie tego tematu nie opracowuje. Moje zainteresowania skupiają się na nazewnictwie polskim i słowiańskim, dialektologii historycznej i opisowej oraz słowotwórstwie słowiańskim. Badam na przykład genezę, rozwój i funkcjonowanie słowiańskich wyrazów ekspresywnych (zdrobień i zgrubień) pod kątem socjolingwistycznym. Tego rodzaju badania dopiero się w Polsce zaczynają, a idzie mi o rzecz niebagatelną: wykazanie wzrostu kulturalnego gwar, ich wpływu na język literacki w związku z „wędrownymi ludami” w naszym kraju i wchodzeniem w życie społeczne pokoleń inteligencji pochodzenia robotniczo-chłopskiego. Okazuje się, że pewne formacje gwarowe lub potoczne, wsparte pochodzeniem gwarowym, mają skłonność do uprawomocnienia się w języku literackim, np. nazwy mieszkańców pewnych miast czy regionów kraju, tworzone przy pomocy przyrostka -ak (lubliniak, warszawiak). Ba, zaczynają się nawet upowszechniać, uważane jeszcze za nieprawidłowe, formy typu Podgórszacz. Porównawcze to języków słowiańskich pokazuje, że formy te mają szansę utrzymać się w języku literackim.

— To jest bardzo interesujące, o czym pan mówi. Gdyż trochę to kwestionuje działalność purystów językowych, którzy za wszelką cenę starają się nie dopuścić do szerzenia się w języku potocznym, nie mówiąc już o literackiej polszczyźnie, pewnych form, rzekomo nieprawidłowych. Pańskie badania w części wyjaśniają niejako konieczność czerpania przez żywy język literacki z pokładów gwarowych i potocznych. Na tym bowiem opiera się życie języka, jego funkcjonowanie, a zarazem świadczą o określonych procesach społecznych i cywilizacyjnych.

— Chyba tak. Ale proszę zauważyć, iż przy okazji sam pan sobie częściowo odpowiedział na pytanie o przydatność badań językoznawczych.

— Dziękuję za rozmowę. Rozmawiał: MP

Z włóczęgi po Europie Pod Waterloo grzmią działa

Krzysztof Janowicz

PO oberży spaceruje pięć pudli. Trzy białe (agresywne, szczerzące) i dwa czarne (pocziwe). Uprzejmy kelner przemawia do pudli z wyśmienitą słodyczą, co powoduje, że na stole, zajętych przez ich właścicieli, pojawiają się nowe butelki „Beaujolais”. W oczach „garsona” wyczytać można jednak wyraźnie wściekłość, pomieszana z obrzydzeniem. Swoje uczucia musi jednak głęboko ukryć, ponieważ grube małżeństwo, do którego należą pudle, jest małżeństwem flamandzkim. Kelner jest też Flamandem, a Flamand Flamandowi oka nie wykoła. Co innego, gdyby miał do czynienia z Walonem, albo — nie daj Boże! — Francuzem. Wówczas niewątpliwie dostałoby się pudlom i ich właścicielom.

Nie tak dawno Belg to był z reguły quasi Francuz. Nawet Hercule Poirot od pani Christie, zapytany, czy jest Francuzem, prostował łagodnie: „Jestem Belgiem!”. Nikt zresztą, a osobliwie w Wielkiej Brytanii, nie rozróżniał tych subtelnych niuansów narodowościowych. Dzisiaj sytuacja wygląda zupełnie odmiennie. Od kilku dziesiątków lat Flamandowie są w ofensywie. Stanowią coraz większy (liczebnie) procent ludności, mnożą się bowiem znacznie szybciej niż Walonowie. Zyskali przewagę ekonomiczną, zaczynają wiesć prym w sztuce i nauce. Wypierają Walonów nawet — horrendum! — z Brukseli. „Wojna językowa” nie przybiera dzisiaj wprawdzie tak ostrych form, jak przed kilku jeszcze laty (choćby dlatego, że zaspokojono wszystkie żądania Flamandów), niemniej jednak Belgia staje się w coraz większym stopniu flamandzka. Tak to Nemezis pomściła oderwanie się od Holandii...

ZWYCIĘSKI PLAYBOY CZYLI POZORY MYŁA

Napoleon Bonaparte uważał Wellingtona za playboya. Z zadowoleniem i pobłażliwym uśmiechem wysłuchiwał relacji o tym, jakie to bale organizuje angielski feldmarszałek w Brukseli i jak nieprzystojnie chelpi się swoimi sukcesami erotycznymi. Zapominał przy tym, iż ilekroć jego wojska spotkały się z tym rzekomym playboym, tylekroć obrywały od niego straszne cieżki. Ten brak pamięci nie wyszedł małemu kapralowi na zdrowie. Jego rówieśnik bowiem, książę Wellington, sprawił mu w czerwcu 1815 roku takie lanie, iż pojęcie Waterloo przeszło do historii jako symbol straszliwej klęski.

Dzisiaj pod Waterloo grzmią nadal działa, mienią się kolorami wojskowe mundury, galopują rumaki, giną męśni kirasjerzy, a general Cambronne cedzi soczysko „a gówno!” na propozycję poddania się starej gwardii. Różnica polega na tym, że działa grzmią w kinematografach i tamże giną kirasjerzy. Skrzętni Belgowie zrobili bowiem wszystko, co w ich mocy, aby wyduśić z nie-

mnie kochają i ja ich Kocham...

stałem zaangażowany do Teatru Wielkiego we Lwowie, pod dyrekcją Ludwika Czarnowskiego. Wtedy zaczęło mi się powodzić lepiej, pensja 120 złotych, już nie było problemu z wyżywieniem. Płaciło się komornie, a czasem nawet i na śniadanko w pokoju do śniadań Musiałowicza było człowieka stać. Dawano tam znakomitą salatkę włoską, do dziś wspominam z satysfakcją. Po studiach musiałem zaliczyć egzamin kwalifikacyjny przy Zarządzie Głównym Związku Artystów Scen Polskich w Warszawie, który mieścił się w gmachu hotelu „Polonia”. A potem zaczęły się moje wędrowki po najrozmaitszych scenach polskich, dłużej jak rok prawie w żadnym teatrze nie pracowałem, co mnie nosiło.

— A sama praca aktora? Warunki działania teatru?

— Teatrami administrowały miasta, ale dyrekcje były prywatne. Subwencje ze strony magistratu niewielkie, toteż dyrekcje, żeby wyjść na swoje, często musiały sięgać do mało ambitnego repertuaru, zaspokajającego niewybredne gusta, farsy francuskie szły jak woda. Ale niech pan sobie wyobrazi, że i polska klasyka miała wielkie powodzenie. Tylko nie wystawiano jej w tak uduziwnionej i zaszyfrowanej formie jak to ma miejsce dzisiaj, kiedy młodzież nie poznaje na scenie tego, z czym zapoznaje się w szkole. A premiery odbywały się co tydzień. W poniedziałek próba czytania i analiza tekstu, we wtorek próba sytuacyjna, w piątek próba generalna, w sobotę premiery i tak ciągle. W ciągu sezonu potrafiłem zagrać główne role w 32 premierach. Robiło się to dla widza i, szczerze mówiąc, dla kasy. Trzeba było grać wszystko.



Aleksander Aleksy

Fot. CAF

— W jakich teatrach pan pracował?

— Trudno zliczyć i spamiętać, mówiąc nawet o okresie przed II wojną. Byłem u Henryka Szetyńskiego w Kaliszu, gdzie w 25 roku, żeby zasilić kasę, sprowadzono Stefana Jaracza do jednej sztuki. Jaracz był moim wielkim mistrzem, pracował w Kaliszu kilka miesięcy. Byłem w Toruniu u Karola Bandy, w Grodnie u Bronisława Skąpskiego, którego pięknie wspominam, byłem w Warszawie u Marii Malickiej przy ulicy Marszałkowskiej 8... Wojna zastała mnie w Łodzi, kiedy znów wybierałem się do Kalisza...

— Właśnie, a w czasie okupacji?

— Zostałem aresztowany przez Gestapo za umożliwienie ludziom wyjazdu z Reichu. Kupiłem od pewnego folksdojczca z Białegostoku odpowiednio przepustki in blanco („pasierszejny”) i paru ludziom pomogłem. Cudem udało mi się wyjść z gestapowskiego więzienia w 1943 r. Wyzwolenie zastało mnie w Łodzi. Na pierwszym posiedzeniu magistratu pod przewodnictwem komisarza rządu, Logi-Sowińskiego, zapadła uchwała, że powierza mi się w opiekę teatry miasta Łodzi. Oceniono w ten sposób moje zasługi okupacyjne. Ten ten administracyjny epizod trwał w moim życiu bardzo króciutko. Znowu wróciłem na deskę sceniczną.

— Wygląda na to, że, jak dotąd, najdłuższe pan zagrzał miejsce w Lublinie.

— Tak. Przyjechałem tu w 1952 roku, zaproszony przez ówczesnego dyrektora Teatru im. Osterwy, Maksymiliana Chmielarzyka, do sztuki Auderskiej „Zbiegowie”, ponieważ wykonał rolę Jerzy Rygiel, bezpośrednio po premierze umarł. I tak zostałem. Wtedy była

wspaniała atmosfera w lubelskim teatrze. Dobrze się czuje w Lublinie. Widownia mnie polubiła, ludzie mnie kochają i ja ich Kocham. Długie lata nazywali mnie w mieście Makarenką w związku z moją rolą w „Poemacie pedagogicznym”, którą chyba najlepiej wspominam. Od lat pracuję nad adaptacją sceniczną powieści Makarenki „Chorągwie na wieżach”, a i tamtą sztukę warto by wznowić, chociażby ze względu na brak repertuaru sztuk młodzieżowych w teatrze. Ostatnio przygotowuję rolę Horodniczego w „Rewizorze” Gogola. Będzie to moje przedstawienie niejako jubileuszowe, choć słowo „jubileusz” raczej mnie śmieszy.

— Co pan myśli o teatrze dzisiaj?

— Za mało się liczy na odczucie, intuicję widza, emocjonalny kontakt z aktorem, za bardzo się natomiast chce widza zawiść, by tak rzec, intelektualnie. Bardzo też często teatr zabija dzisiaj indywidualność aktora, co w konsekwencji powoduje upadek sztuki aktorskiej. Aktor staje się przedmiotem w ręku reżysera i zaryzykuje twierdzenie, że reżyser nawet nie znoś indywidualności aktorskiej, reżyser przede wszystkim kocha samego siebie. Młodzi w teatrze często tracą więc indywidualność, grają wiessaki, robią pieska, a kiedy pytają reżysera: „po co to, on odpowiada: ja wiem, pan nie musi wiedzieć! Pamiętam czasy, kiedy „Księżyc świeci nieszczęśliwym” miał w Lublinie 80 kompletów. Było to kilkanaście lat temu!

Rozmawiał: map

zliczonej rzeszy turystów (przede wszystkim, rzecz to zrozumiała, Anglików i Francuzów) możliwie największą ilość franków.

Jest więc w pobliżu pola bitwy panorama (w rodzaju naszej racławickiej), są kina, gdzie wyświetla się półgodzinne filmy o francusko-angielsko-holendersko-pruskiej zapaśkach, są stoiska z niezliczoną ilością popiersi — Wellingtona albo Napoleona, zależnie od upodobań. Są wreszcie oberże, hotele, restauracje, kawiarnie, parkingi. I wszędzie pełno.

Nad polem bitwy wznosi się kopiec, na którym stoi brytyjski lew, odlany ze spiżu. Kopiec zastępuje elektrokardiogram. Na jego szczyt wiodą bowiem schody. Kto przejdzie jedną osmą i dalej nie może, powinien natychmiast zasięgnąć porady lekarskiej. Kto dojdzie do polowy i ustanie, powinien bardzo dbać o zdrowie. Natomiast każdy, kto wdrapie się na szczyt, może spać spokojnie. Inna rzecz, że wysiłek ten rekompensuje się nader mizernie. Ze szczytu bowiem (pod

lwem) widać pola i nie więcej. Można jeszcze, po wrzuceniu franka i naciśnięciu odpowiedniego guzika, wysłuchać opisu bitwy w jednym z trzech języków, nie jest to jednak trud oplatany. Taśma bowiem jest tak zużyta, że połowa prelekcji składa się z jakichś trzasków i oderwanych a niezrozumiałych słów.

I TE CHATY STRZECHĄ KRYTE

Waterloo liczy dziś niespełna 9 tys. mieszkańców. Miasto to schłodne, wypielęgnowane, z dwoma supermarketami i salonami samochodowymi. Przy głównej ulicy stoi biały domek, do którego wstęp jest płatny. W nim to bowiem przed 159 laty mieściła się kwatera główna Wellingtona, a dziś znajduje się tu jego muzeum. Zgromadzono wszystkie rzeczy, którymi feldinarszałek dysponował w czasie bitwy: poczynając od gęsiego pióra, a na pisto-

letach i szpadzie kończąc. Pióro było zresztą znacznie częściej w robocie niż pistolety, z których książę nie robił raczej użytku.

Co krok natykam się na ślady sprzed półtora setki lat. A to jakiś pomniczek, a to nagrobek, a to tablica na domu głoścąca, iż złożono w nim jakiegoś rannego pułkownika, a to kościół, ufundowany z okazji zwycięstwa. O byznes trzeba dbać. A sądząc po formie rozrastania się Waterloo, nie jest to zły byznes. Sporo tu nowych domów (ach, te linyki, wzdycha się tęsknie spoglądając na śnieżnobiałe lub nieskazitelnie kolorowe fasady, bez żadnych zaciełków i burchy plam), sporo przepięknych architektonicznie wili. Kilka z nich pokrywa swojska strzecha.

A to już szczyt wyrafinowania. Strzecha jest modna, w ogóle „ludowość” zaczyna być w dobrym tonie. Pod tą strzechą znajduje się, oczywiście, „normalny” dach z eternitu albo blachy. Zresztą podczas kontemplacji strzechy nasunęły mi się brzydkie podejrzenia. Coś ona jakoś dziwnie równo przycięta, dziwnie błyszcząca, z dziwnie jednolitą „patyną”. A może to strzecha plastikowa? Wodoszczelna i ognioodporna? Później, we Francji, widziałem więcej takich strzech, ale zagadki nie zdołałem rozwikłać. Słoma li to, czy też tworzywo sztuczne?

NAJBOGATSZY CHŁOPCZYK ŚWIATA

Z Waterloo do Brukseli jeden skok. Paręnaście minut jazdy. Bardzo dawno temu, w okresie kiedy Mieszko I rozpoczął swoje rządy, pojawili się na wyspie Saint Gery osadnicy i założyli miasto. Rzeka broniła dostępu nieproszonym gościom, którzy miewali coraz większą chrapkę na bogacących się szybko mieszkańców wyspy.

Dzisiaj zarówno wyspa, jak i rzeka zniknęły bez śladu. Natomiast współczesna Bruksela składa się właściwie z dwóch miast: Górnej i Dolnej. Dolna — to Starówka, dzielnica turystyczno-handlowa. Górna — to dzielnica pałaców, placówek naukowych, rządu i ambasad.

Bruksela jest mniejsza od Warszawy. Ale ruch w niej taki, że przejazdka po ulicach Paryża uchoćdzie może za relaks. Czasami odnosi się wrażenie, że mieszkańcy stolicy Belgii nie pracują, nie jedzą, nie załatwiają żadnych interesów, tylko bez przerwy jeżdżą samochodami. Letz oto radosny okrzyk wyrzywa się z piersi: „Jest!” Z długiego, nieruchomego rządu samochodów, stojących pod zegarami (automaty, odliczające czas parkowania. Oczywiście, nie bezpłatnie) wysuwa się jakiś „Opel”. Można wskoczyć na jego miejsce i postać sobie przez godzinę, bądź — ryzykując wysoki mandat — nieco dłużej.



Odlany ze spiżu brytyjski lew patrzy na dawne pobojowisko pod Waterloo.

Fot. Archiwum

Zatrzymaliśmy się w Brukseli Dolnej. Parę kroków od Starówki. A Starówka to przede wszystkim Grand Place, z przepięknym (ponoć najładniejszym na świecie) Ratuszem i okalającymi go domami, z których każdy mógłby zamienić się w samodzielne muzeum. Kamienne fasady przypominają do złudzenia brabanckie koronki, w czym zresztą nie ma nic dziwnego, jako że Bruksela jest też stolicą Brabancji. W jednym z domów, zwanym Maison du Roi, mieści się miejskie muzeum. Obrazy, sztychy, porcelana. Jak to przeważnie w muzeum. Ale jest coś ekstra. Na jednym z pięter ulokowano wystawę strojów Siusiąjącego Chłopczyka, czyli Manneken Pis. Poczynając od uniformy, który ofiarował Ludwik XV, a kończąc na strojach kosmonautów. Sam Chłopczyk siusia sobie niedaleko od muzeum, w jednej z bocznych uliczek. Figurka jest mała, znacznie mniejsza, niż można było sądzić po zdjęciach. Przed Chłopczykiem tłumy, przeważnie pstrykające aparatami fotograficznymi. W promieniu kilkuset metrów można w każdym sklepie kupić podobizny Chłopczyka. Z brązu, z porcelany, z kamienia, z drzewa, z plastyku. Od figurek mniejszych od małego palca u ręki, aż po figury naturalnej wielkości. Cena jest wprost proporcjonalna do rozmiarów.

Bruksela to jednak nie tylko niezapomniana atrakcja turystyczna. I nie tylko centrum administracyjno-polityczne kraju. To również ogromny ośrodek przemysłowy i jeden z największych w Europie węzłów komunikacyjnych. To również zagłębia górnicze z morzem. To także siedziba uniwersytetu, poli-

techniki, wyższej szkoły sztuk pięknych, konserwatorium (w którym działa też Henryk Wieniawski). To siedziba EWG i wielu organizacji międzynarodowych. To miasto, w którym odbyły się już dwa razy wystawy światowe (w 1910 r. i „Expo 58”).

To wreszcie „zagłębie budowlane” o imponującym rozmachu. A zaczyna się wszystko od burzenia. Każdy metr kwadratowy jest tu nieomal na wagę złota. Oplaca się więc wyburzyć starą rudę i na jej miejsce postawić coś nowego i wielkiego, niż budować na działce dziewiczej. Padają więc jeden po drugim fin de siecle'owe gmazyska, co sprawia, że niektóre ulice wyglądają jak po umiarkowanym trzęsieniu ziemi. Malownicze całości dopełniają wykopki pod metro. Trzeba jednak przyznać, że to wyburzanie idzie brukselczykom sprawnie i ani człowiek nie spostrzeże, kiedy na miejscu stosu cegieł i żelastwa wznosi się szkielet nowego „wysokościowca”.

Na zakończenie tych belgijskich refleksji mała jereміada. Co to jest park? Drzewa, soczysta zieleń trawy, barwne kobierce kwiatów, ewentualnie jakiś stawek, albo szumiąca fontanna. W Brukseli są parki. A jakże. Jeden z większych usytuowany jest w pobliżu pałacu królewskiego. Drzewa są. Duże i efektowne. I tylko drzewa. Zamiast kobierca soczystej trawy natomiast rozciąga się posypana miłkkiem kamieniem płaszczyna, potwornie zakurzona i podstępnie dokuczliwa, jako że kamyczki wpadają do butów i kłują. I to ma być park!?

Kamena str. 7



Maison du Roi na Grand Place w Brukseli. Tu można obejrzeć wszystkie ubranka Manneken Pis. Fot. Archiwum

POD koniec sierpnia wuj ustąpił kukanie kukulki, a że nie był akurat przy pieniądzach, wyciągnął z tego wnioski jak najgorsze. Po historii z Kozakiem, który rozciął w nocy siatkę na muchy i wdarł się do pokoju z obnażoną, błyszczącą złowieszczą szablą, żądając siana dla koni, stracił jak gdyby swoją pewność siebie. A także ufność, jaką całymi latami darzył ludzi. Przed snem penetrował dokładnie obejście, spuszczał z łańcucha wygłodzonego nieco psa Rabusia i starannie ryglował wszystkie możliwe drzwi. Nie będąc pewnym klódek, sporządził w dodatku stalowy łańcuch i uwiesił go u furtki. Ciotka jak to ciotka! Pomartwiła się, pobała, wyplakała, a następnie zszła starannie rozciągniętą szablą siatkę i uznała, że cała historia została w ten sposób zakończona. Siatka stała zresztą przez całą zimę w kącie za kredensem. Rdzewiała pod wpływem kuchennej wilgoci i jeszcze sporo czasu musiało upłynąć do chwili, kiedy wyciągnięta na światło dzienne i umocowana w okiennej ramie, na powrót miała stawać czoło inwazji tysięcy much wykluwających się w zakamarkach obejścia, wśród których trafiały się czarne, tłuste, bzyżące, napełniające mnie wstrętem robaczki. Nie klula w oczy, ale wuj był pamiętliwy. Kozak, mimowolny sprawca tej odmiany, przepadł jak kamień w wodę. Jedni mówili, że natychmiast po incydencie z wujem poszedł na front i tam zginął trafiony niemiecką kulka. Drugi utrzymywali, że potrzymano go jakiś czas w ciupie, a później najwzyczajniej w świecie przeniesiono do innej miejscowości. Kukulka wykukała jednak wujowi jeszcze większe nieszczęścia i dlatego chodził jak struty i czasami, co dotąd zdarzało mu się niezmiernie rzadko, zaglądał do kieliszka. Kto mógł wiedzieć, że z nastaniem wiosny, kiedy na Liwcu i licznych wpływających doń strugach ruszył kraj, jej złowroźne przepowiednie spełniały się co do joty. Nim jeszcze złośliwy i arogancki, panoszący się w cudzych gniazdach i pożerający setki owadów ptak o popielatych skrzydłach i białym, poręczanym czarnymi prążkami brzuchu powrócił z legendarnych ciepłych krajów, by napełnić swoim godowym wrzaskiem międzyński las, umarł najpierw rządcą Dzierżbicki. Od dawna już nie przychodził po mleko, od dawna już nie wytykał nosa poza swój biały, pokryty błachą i oceniany sutymi kasztanowcami dom, od dawna leżał w łóżku nakryty bufiastymi pierzynami i zaciskając zęby, tłamsił bóle buszujące po jego starczym podbrzuszu. Bóle te podobno były tak silne, że gdy do ludzi dotarła wieść o jego zgonie, każdy obok zrozumiałego w takich wypadkach żalu, poczuł równie zrozumiałą ulgę, że oto starzec, którego jedyną winą było to, że wrząc z wywołaniem i odejściem frontu skończyła się jego epoka, przestał wrzeszcze zamęczać siebie i otoczenie. Ponieważ dawnemu rządcy zabrakło środków na uroczysty pogrzeb, wuj sam zaofiarował się z furmanką i pośrodku świszczącej, dudniącej i trzaskającej zimy powiózł go na cmentarz, do kaplicy, gdzie na obrazach i freskach tańcowała śmierć wyobrażona w postaci żywego szkieletu z kosą. Grabarze długo musieli tłuc żelaznymi drągami zmarznącą ziemię, by wyłobić dla rządcy, który był mężczyzną słusznego wzrostu, stosowny grób. Uklepano mogiłę łopatami i do nadejścia lepszych czasów pokryto darnią.

— Nie uroniła ani jednej łezki. Stała nieruchoma i spoglądała zimno gdzieś przed siebie — mówili ludzie o ładniejszej z dnia na dzień córce rządcy Dzierżbickiego, Ani.

Ciotka na swój sposób postanowiła wykorzystać śmierć rządcy w celu wyciągnięcia wuja z jego ponurego nastroju.

— Co wykukane, to i pogrzebane! Możesz przestać się tak zamartwiać przez cały boży dzień.

Wuj jednak słuchał jej słów jednym uchem, a wypuszczał drugim. Ta śmierć, jak zresztą każda inna, była nieszczęściem, lecz nie tym, którego się spodziewał.

— Co ty tam wiesz? Czyjaś śmierć to jest koniec, a z prawdziwym nieszczęściem trzeba żyć.

Kiedy w marcu przygrzało nieco słońce, kiedy z przychmurzonego nieba sygnęło wilgotnym wiosennym ciepłem, kiedy gawrony i sroki przystąpiły do budowy swoich nastrozowych, rosochatych gniazd, a szpaki, trzepocząc skrzydłami i trzęsąc całym ciałem do taktu, zaczęły naśladować głosy wilg, kiedy zaczęła pękać z hukami ściegi jeszcze zeszlizocznym lodem Czerwonka, ożylił się także ludzie. Wuj zapominając jak gdyby o swoich zgryzotach, wziął mnie ze sobą do stodoły, bo należało podkuć konia. Stał on przez całą zimę w maleńkiej, przylegającej do wujowej stodoły stajni, żarł obrok i siano, siorpał wodę dostarczoną przez ciurkające obok czarne, wysmarowanego to wotem kieratu źródło, nasłuchiwał chrzęstu wypełnionych omlóconą słomą siasieków, wypoczywał przed czekającą go mordacją. Kiedy wuj wyprowadził go na dwór, jego gniada, jasnobrunatna, z lekka podpalana sierść załśniła intensywnie w skąpych słońcu. Z innych stodoł także powyprowadzano konie różnej rasy i maści, a cała ta dziwna kawalkada skierowała się w stronę mostku, na Czerwonce, bo przejścia po pękającym tu i ówdzie lodzie nie można już było ryzykować. Konia podkuwał kowal Matwiejczuk. Jego kuznia czerniła się i przychła iskrami po drugiej stronie rzeczki, nieopodal wielkiej topoli, upstrzonej kulistymi kottunami za-

kwitającej właśnie jemioli. Kawalkada przeszła przez mostek, chlapi uwiązali konie do sztachet parkanu otaczającego zdczwały ogród, a sami w oczekiwaniu na swoją kolej zbili się w gadatliwe grupki i gromadki. Matwiejczuk w skórzanym fartuchu i w koszuli z krótkimi rękawami rozgrzewał w palenisku podsycanym miechem przez chudego pomocnika metalowe sztaby, unosił je w żelaznych szczytach, kładł na kowadło i celnymi uderzeniami młota formował z nich rozpalone do czerwoności podkowy, które następnie hartował cisakując do zmetniałej, syczącej wody. Chłopi jawnie i beczelnie gaworzyli ze sobą, nie kryjąc się ze swoimi poglądami.

— Rządca umarł i nawet nie zostawił córce posagu.

— Da sobie radę. Pojedzie do Warszawy. Bogatego męża znajdzie.

— Powinien dostać kawał ziemi z reformy.

— Za stary był. Tak długo ludzi popełdzal do roboty, aż sam zapomniał, jak się robi.

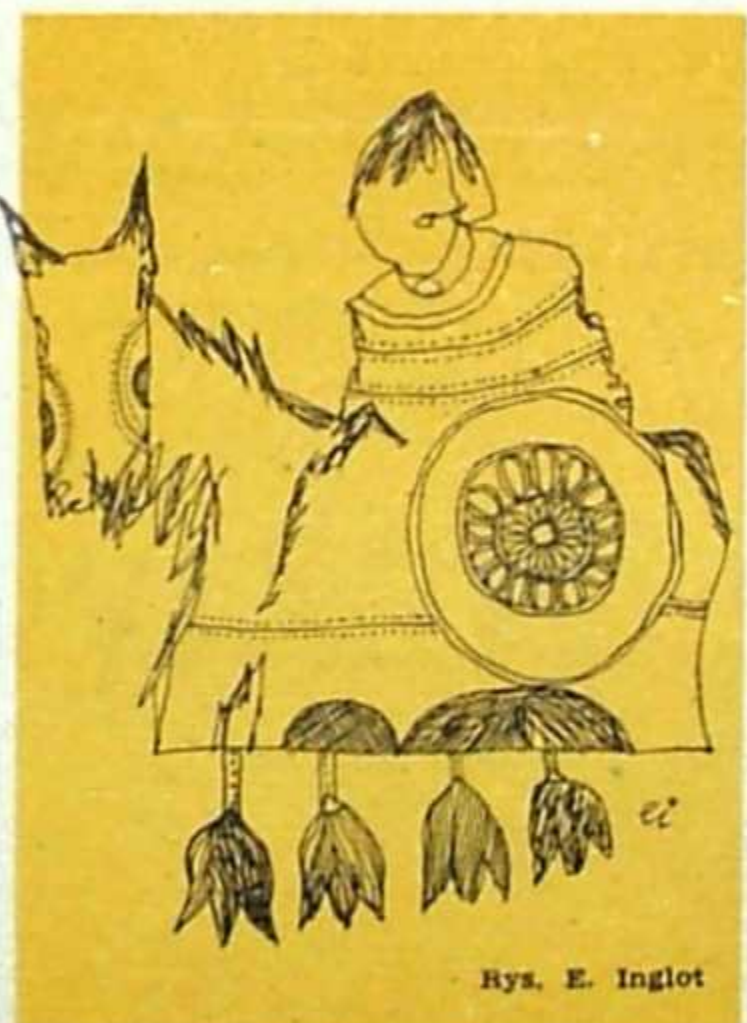
— Jeden umiera, drugi się rodzi. Brat-kowska, ta z magistratu, urodziła syna.

— Tylko nie wiadomo z kim.

— Może z tobą.

— Prędzej z tobą. Ja to wolę swojej babie dzieci robić.

Podkuliśmy z pomocą Matwiejczuka, o którym krążyły pogłoski, że jest Białorusinem, wujowego konia i z dumą, drogą prowadzącą przez inny mostek, odprowadziliśmy go do stajni przy stodole. Nazajutrz wuj miał z nim wyruszyć orać pole na dawnym pobojowisku. Tej nocy spałem i nie spałem, ponieważ w kącie za szafą zaczął budzić się jeź. Usłyszawszy jego chrobot i tupot, przyznałem się u brzegu łóżka, aby zobaczyć, jak się wygrzebie ze swojej kryjówki. Zbiegłem



Rys. E. Ingłot

również do piwnicy i wyszukałem w niej, nadzarte nieco przez parchy, zeszlizoczne jabłko, bo słyzałem od matki, że jeże lubią, gdy się im nadziewa na kolce te owoce. Jeź jednak pogromił się jeszcze trochę i chyba zapadł na powrót w swój sen, bo odgłosy po pewnym czasie ucichły. Położyłem się do łóżka i spokojnie oczekiwałem aż ponownie pojawi się sen. Pod przymkniętymi nieznana, zbawczą ręką powiekami pulsowały bezgłośnie ogniste rozbliski, przelatwały iskry, wnosili się i opadały kurczowo gęste plomienie. Stopniowo z tej feerycznej, nieproszonej pozoł, wyłoniła się zryta i podziurawiona ulica Kilińskiego. Sunęły po niej w niepowstrzymanym pochodzie przysadziste czołgi i działa pancerne, hałaśliwe samochody nabite znużoną i zakurzoną piechotą, motocykle, armaty, zabłąkane po bokach furki i Bóg wie, co jeszcze. Wroga armia cofała się panicznie, kierując się w stronę liwskiego traktu, na szosę prowadzącą do Warszawy. Stalowy potok miażdżył i rozrywał bruk, blądził wśród ruin i pogorzeliśk getta, a ja z duszą na ramieniu obserwowałem go kryjąc się po podwórkach i zaułkach. Z jednej strony byłem ogromnie ciekaw odwrotu, a z drugiej obawiałem się, iż dudniące pojazdy rozjadą mnie albo jakiś znużony żołnierz pośle za mną kulke, ostatnią jaką wystrzelił na tej ziemi. Kiedy tak klucząc i przemykając dotarłem do żalonych szczytków rozkopanego i zbezczeszczonego kirkutu, potok zatrzymał się, zatoczył półkole i ze śmiertelną przerażającą powolnością zaczął mnie okrążyć. Chciałem uciekać, ale ze wszystkich stron następowały na mnie pokraczne torys czołgów, maski samochodów i tarcze dział. Żołnie-

rze w mundurach koloru feldgrau, unieśli karabiny i wymierzili je we mnie. Za chwilę miała rozleć się salwa. Obudziliem się zły potem, dziękując Bogu, że to tylko sen, ale od strony ulicy Kilińskiego, poprzez ściany domów i ogrody dolatywały rzeczywiste jakieś odgłosy. Krzyki ludzi, warkot rozpedzonych aut, rżenie koni. Za chwilę włączył się w to wszystko miarowy dźwięk gongu, a później klasztorne i farne dzwony, o których przecież wiedziałem, że nie biją pośrodku nocy bez istotnej przyczyny. Spojrzałem na postanie matki, było puste. Odchyliłem zasłonę w oknie, ale nie zobaczyłem nic, bo widok zasłaniała zatrzaśnięta okiennica. Pozbierałem zatem manele i wdziwając je w biegu wpadłem najpierw do ogrodu, a później na ulicę. Ludzie — kobiety i mężczyźni, wyrostki i starcy — nie zwracając na mnie uwagi pędzili gdzieś przed siebie, kierując się w stronę ścieżki biegnącej obok klasztornego muru. Na lewo od lasu, w którym przycupnęła szkoła na Piaskach, wzbijała się w niebo krwistoczerwona luna,

dalej na ziemię, pokryli się, gdzie kto mógł, głucha eksplozja wyrzuciła w powietrze sноп płonących desek, bal i krowki ze stodoły Konicieckiego. Pospadały one na sąsiednie dachy i teraz płonęły już wszystkie bez wyjątku stodoły.

— On trzymał tam amunicję. Kto mógł to wiedzieć? — wrzasnął ktoś rozpaczliwie nad moim uchem.

Rozgarniając tłum odnalazłem wrzeszeje wuja, ciotkę, trzy podrośnięte kuzynki, niektórych sąsiadów. Ciotka lamentowała i wydzierała włosy z głowy.

— Bodaż by mnie ziemia pochłonięła. Nie wierzyłam mu, gdy powiedział mi o tej kukulce. Myślałam, że to taka chłopiska fanaberia. A teraz wszystko poszło z dymem. I koń, i krowa, i zboże i maszyna.

— Szczęście w nieszczęściu pani Porawska — pocieszała ją któraś z odbiorczyń mleka, odziana tylko w płaszcz narzucony na halkę — że to na przednówku.

— Przednówek, nie przednówek. Jak my się z tego wykaraskamy, jak się pobudujemy? Była wojna, były dwa fronty,

POŻAR STODÓŁ

Wojciech Roszewski

przybrudzona kłębami to białego, to czarnego dymu. Jakiś obdartus przebiegając koło mnie krzyknął:

— Pożar! Stodoły nad strugą...

Biegając wraz z innymi, przeskakując rowy i krawężniki, uważając, by nie zaplaść się i nie runąć w gęstwinę ludzkich rozpedzonych, rozmigotanych w mroku stóp, myślałem tylko o gniadym koniu, który dziś rano miał podjąć orkę na pamiętnym, wujowym polu. Widziałem jak uwiązany do żłobu, młota się na widok napierających płomieni, rzy, wierzga, kwiczy, chichocze, ryczy, wyje nawet, daremnie wzywając ratunku. Dotarłem do budzącej się wciąż ze snu ulicy Szamotoy i dopiero teraz, bębniąc stopami po wylupianych kocich łbach, przekonałem się, że w pośpiechu zapomniałem wdziać buty. W miarę przybliżania się do mostku nad strugą, ludzka ciżba rosła. Wszyscy mieszkańcy miasteczka pozrywali się z łóżek i jak kto mógł pędzili teraz w stronę stodoł, które trzema nazbyt zwartymi rzędami piętrzyły się po drugiej stronie pękającej z traskiem od odwilży strugi. Poprzez tłum torowały sobie drogę furmanki, rowery, motocykle, bryczki, prymitywne beczkowsy, z których woda wylewała się szerokim strumieniem przez nieszczęsne zatyczki. Na głośniejsze sygnały, mającym skłonić do rozstąpienia ludzi, przemknął przysadzisty wóz strażacki, a w nim mężczyźni odziani w srebrzyste, wypucowane hełmy. Dopadłem do mostku, ale był tak zapchany narodem, że nie było co marzyć o przejściu po nim. Zbiegłem więc w dół po skarpię i macając bosymi stopami kruchy lód, przedarłem się jakoś na drugi brzeg rzeczki.

Stodoły płonęły! Rozsierdzona i napaściwa lawa buzującego ze świstem ognia strawiła już jeden ich rząd, a że wiatr dał w najgorszą stronę, sięgała już po drugi i trzeci. Niewiadoma iskra — może z kominu młeczarni, może z nad okapu kuzni podkuwającego konie do późnej nocy kowala Matwiejczuka, może skrzęsana ręką ukrywającego się wśród nas piromana, może przyniesiona przez tragicznych i zbrodniczych chłopaków wciąż jeszcze ukrywających się w lesie — padła na suchą, poczerzniętą słomę i rozprzestrzeniła się teraz w wielki, trawiący wszystko na swojej drodze pożar. Nie było co gasić. W miejscach największego natężenia ognia płomienie wzbijały się z sykłem w górę, wyrzucając w powietrze tyczki, bierwiona, ostrzewki, żerdki i furkoczące jak komety zakłóśniki. Walili się ściany, spadały krokwie, pękały węgły i gięły się darte i pazowane dechy. Osamoleni i rozpaczeni ludzie kreślił się dookoła ognia, zanurzali się w miąższo dymu i płomieni, wynosili na rękach jakiś drobny, możliwy do podźwignięcia dobytek, uprowadzili na powozach, który zdążył, ryczące bydo i konie. Strażacy, przybyli tu z różnych stron i miejscowości, bezradnie krzatali się przy swoich sikawkach i motopompach, bo w płytkiej i w dodatku wciąż jeszcze pokrytej lodem strudze, szybko zabrakło wody, a o tym, żeby dowozić ją w większej ilości ze studzien i z odległego, budzącego się właśnie do życia Liwca, nie było mowy. Ni stąd, ni zowąd zaczęły targać powietrze chrapliwe trzaski drobnych eksplozji. Zdezorientowani ludzie, mając jeszcze świeżo w pamięci zeszlizoczne walki, myśleli z początku, że to gdzieś na płaszczystym wzgórzu odezwał się karabin maszynowy, ale okazało się przedko, że trzaski dochodziły z opuszczonej stodoły ry-marza Konicieckiego, który poszedł do woj-ska i zginął na froncie.

— Kryć się! Kryć się! — przeleciał po zbiorowisku gapiów i ratujących, podawany z ust do ust okrzyk. Ostrożność okazała się uzasadniona. Ledwie ludzie odbiegli od stodoł, popa-

były naloty, były walki i te stodoły jakoś to wytrzymały. Dopiero teraz...

Przez kilkadziesiąt minut ogień świszczący w wysuszonym, nocnym powietrzu nie tracił swojego impetu. Potem zaczął przycisnąć, ale o świtaniu tilił się jeszcze dość mocno w głębi zwalonych zabudowań. Gniady koń, którego wczoraj podkuwaliśmy u kowala Matwiejczuka, oczywiście spłonął. Obchodząc wraz z wujem pogorzeliśko odnalazłem jego zwęglony zwłok. U kopyt jeszcze błyskały tu i ówdzie świeżym metalem, osmolone podkowsy. Wuj pod wpływem tych wszystkich nieszczęść zmężniał, odzyskał zabra-ną mu w sierpniu ubiegłego roku przez kukulkę pewność siebie.

— Nie martw się — powiedział do mnie — zbudujemy nową stodołę na polu koło pomnika. To musiało przyjść prędzej czy później. Kto widział stawić tyle stodoł w jednej gromadzie?

— Wujku? — zapytałem go przebie-rając uroczysty wyraz twarzy. — Ja myśla-łem, jak ta wojna się skończyła, jak spali-liśmy na rynku kukłę Hitlera, jak przedzi-łiliśmy wrzeszeje tych, co jeszcze póź-niej strzelali po nocach, że już żadnych nieszczęść nie będzie?

— Mały jeszcze jesteś — odpowiedział wuj targając mnie za włosy.

— Z nieszczęściami jest inaczej. Przy-chodzą, kiedy chcą i odchodzą kiedy chcą. Trzeba umieć z nimi współżyć.

Przyczyny pożaru, mimo wysiłków z różnych stron, nie ustalono. Ludziom pozostały domysły, pytania i zagadki. Długo jeszcze na ten temat rozprawiano w miasteczku. Jedni uważali, że pożar został zaprząszone przypadkowo, drudzy, że ktoś rozniecił go umyślnie. Posadzano o to wiele osób, ale żadnej spośród nich nie można było udowodnić winy. Na miejscu stodoł nad strugą pozostała lacha poczerz-niałego, zmieszanego z węglem i popio-łem piachu, spod którego wystawały tu i ówdzie bale i dyle. Kiedyś, gdy w końcu kwietnia wędrowałem z wujem na ryby do zaklasztornego stawu, kiedy o nogi obijał mi się blaszany, podziurawiony z wierzchu bamborek, a w dłoni dzierżyłem długie, leszczynowe wędy, gdzieś nad naszymi głowami zakukała znowu złow-roźbna kukulka.

— Teraz już mnie nie nabierzesz! — krzyknął wuj w stronę ukrytego wśród liści ptaka i wyciągnął z kieszeni zmłóto-szonego czerwonońca.

Kukulka nie zrażona tym kukała da-lej. Nam — na szczęście, innym, którzy nie byli tego dnia przy groszu — na nie-szczęście. Mimo że na przylegającej do stawu łące tego dnia ładowały i wzbija-ły się w powietrze kukuruźniki z pocztą i ładunkami, złowiliśmy masę ryb. Z któ-rych ciotka przyrządziła później smaczny obiad. Ze zdumieniem stwierdziłem póź-niej wielokrotnie, iż ów pożar, który na-raził tyłu ludzi na straty, wspomniany był później przez nich z pewnym senty-mentem. Jakby jego magiczny blask wy-pędził z ich pamięci obrazy innych, znacz-nie groźniejszych i bardziej zleniawidzo-nych pożarów, które w innym wypadku jeszcze długo napawałyby ich lękiem.

W lipcu, kiedy przyszło zwozić z pola osypujące się już, wyschłe i chrzęszczące snopy zboża, nowa, nakryta świeżutką słomą stodoła stała już przy olszynowym zagajniku sięgającym swoim wydłużo-nym jeżorem rozświetlenia dróg, pobojow-iska i postawionego na sztorc głazu spełniającego rolę pomnika. Pod wieczór grały w niej niezliczone świerszcze, a poprzez otwory w szorstkich, nie wygła-dzonych dechach sączył się uporzędy, krwisty blask słońca chowającego się pod koniec dnia za jarnickimi wzgórzami.

Białostocki obraz 73

ZACZĄC można w stylu starych referatów: przed wojną w Białymstoku w zasadzie nie istniało środowisko plastyczne. Zaczęło się ono dopiero w drugiej połowie lat czterdziestych, przez długi okres czasu raczej wegetując na marginesie krajowego życia artystycznego. Obecnie białostocki ZPAP liczy 75 osób i dopracował się kilku wartościowych imprez o zasięgu ogólnopolskim i międzynarodowym, przede wszystkim zaś może pochłaniać się twórczością kilku malarzy. Imprezy: doroczne plenery w Białowieży (malarski) i Hajnowce (rzeźbiarski), goszczące artystów z zagranicy i zbliżające się do dziesiątej rocznicy istnienia; letnie spotkania w Borkach koło Augustowa, odbywające się pod patronatem ZMS, bardzo rozgadane na tematy istotne dla sztuki dzisiejszej... W tym roku odbyły się, po raz pierwszy w tych miejscowościach, plenery w Ciechanowcu i Nowogrodzie, o których za chwilę.

Tradycje lubelskiego środowiska plastycznego sięgają lat dwudziestych, a może nawet lat sprzed pierwszej wojny światowej. Aktualnie związek artystów liczy 125 osób i partycypuje w organizacji pleneru w Kazimierzu, o którego wartości trudno coś powiedzieć, jako że trudno ocenić rzetelnie i zjawiska niedostępne dziennikarskiemu oku.

Artyści białostocki są najbardziej ruchliwym środowiskiem twórczym miasta, władze wyrażają się o nich ciepło, nie kończąc zresztą na werbalnych gestach sympatii. Dlatego właśnie na Białostoczczyźnie co rok, to prokurator, czyli nowy plener, a ostatnio — oczekiwane pawilony wystawiennicze, do których w przyszłym roku dołączy zabytkowy „Arsenal” przy pałacu Branickich, przeznaczony na galerię wystaw czasowych, kawiarnię, siedzibę ZPAP i BWA, pracownię poligraficzną. Dlatego właśnie, dzięki wspomnianym układom społecznym, minionego lata malarze mogli rozłożyć manatki — każdy w osobnym i odpowiednio obszernym domku campingowym — w pięknym miasteczku Nowogrodzie nad Narwią, gdzie znajduje się mały, lecz bardzo ciekawy i fotogeniczny skansen, utworzony wysiłkiem Adama Chętnika, niezwykłego już etnografa, o którego niezmordowanej działalności „Kamena” miała przyjemność pisać w przeszłości. Artyści, jak to w Polsce w zwyczaju, otrzymali od organizatorów wszystko, co potrzebne do malowania. Jak więc musiało być zaskoczenie pewnego twórcy z Białogostoku, który zaproszony na międzynarodowy plener w jugosłowiańskim Priplepie, poza dachem nad głową w pięciuosob-

wej sali, zupa w proszku i słonce — nie otrzymał przez pierwsze półtora tygodnia nawet białej wody, ba, o wodę musiał prosić. Do mycia i picia. Bez przesady: nasze plenery odbywają się w warunkach luksusowych.

Spotkanie w Nowogrodzie odbywało się pod hasłem „Wieś białostocka w malarstwie”, co niejednemu rzeczniczkowi sztuki społecznie obojętnej, absolutnie niezależnej, samej dla siebie będącej absolutem — doprowadzi zapewne do białej gorączki. Wolnego, przed tym niech pojedzie do Białogostoku i obejrzy obrazy Panka, Okołowa, Wołkowyckiego, Rybiego czy Jurkowskiego, które powstały w Nowogrodzie. Zobacz, jakby to skróciło określenie — twórczość autentyczna, mieszcząca się w stylizację właściwą tym autorom, a zarazem dyskretnie nawiązującą do otoczenia, do jego tradycji kulturowej i naturalnej urody. Klimat nowoczesny (wówczas) techniki, jaki wywalały Zakłady Azotowe w Puławach, także sterował decyzjami niejednego z artystów, uczestniczących w pamiętnym sympozjum w 1966 roku. I było wszystko w porządku, bo technika i nauka koncentrowały wtedy uwagę artystów, co w naszych warunkach cywilizacyjnych znajdowało przecież tylko częściowo uzasadnienie.

Okoliczności organizacji pleneru w Ciechanowcu były, powiedzmy, obiecujące. Do imprezy doszło bowiem dzięki artystowskim ambicjom — w najlepszym tego słowa znaczeniu — dyrektora tamtejszego Muzeum Rolnictwa im. Krzysztofa Kluka, mieszczącego się w XIX-wiecznym pałacu. Być może plener ten doznał się kontynuacji w latach następnych.

Jeśli zaś chodzi o samą twórczość artystów białostockich, to trzeba przyznać, że ma ona kształt dojrzały, mieszcząc się w planie indywidualnie traktowanej figuralnej (Wiesław Jurkowski, Dorota Labanowska i Stefan Rybi), a w jednym wypadku rozwijającej problematykę „przeźreni świetlnej” w obrazie (Mikołaj Wołkowycki). Smuci przecież, że stare gwardii białostockiej, metrykalnie przynależnej do średniego pokolenia, nie powołuje młodzież artystyczna, która ma i za nieco jedynie w obrębie rzeźby. Nielitery z juniorów, którzy osiedlili się w Białymstoku dwa — trzy lata temu, jakoś nie mogą wyjść z okresu raczkowania, albo oddają się zajęciom usługowym. „To nie problem, ale kwestia naturalnej selekcji”, twierdzi Jurkowski i ma chyba rację. To średnie pokolenie, grupa kilku osób z wewnętrznej konieczności przypisywanych do sztuki, traktuje społeczność białostocką w Białymstoku tak poważnie, że zdecydowało się na krok chyba niezbyt popularny w środowisku. Ojciec doroczne wystawy malarstwa, począwszy od wrześniowej ekspozycji „Obraz 73”, gromadzą wyłącznie autorów legitymujących się stałą aktywnością twórczą. Nie są ważne konwencje, ale owa aktywność, którą opiniuje sekcja malarska Zarządu Okręgu ZPAP. Tak i we wspomnianej wystawie uczestniczyło 11 artystów. A może by tak Lublin skorzystał z białostockiego pomysłu?

Na koniec inwokacja do św. Łukasza: spraw, aby białostockie BWA otrzymało jakieś przyzwoite magazyny!

IJK

POD PARAGRAFEM

Stosunek nieracjonalny

ALE to nieszczęście wydarzyło się za sprawą kobiety, „szersze la jam” (jak mówią Francuzi), wobec której kilku panów miało stosunek nieracjonalny. Kobieta była studentką w dużym mieście fabrycznym i była jeszcze bardzo ładną dziewczyną, tyle że w przeszłości maturalnej uwięzioną, a na studiach w ostrym kursie poznańskim. Gdy raz koleżance pożyczyła swoje wykwiłtne ciuchy, to tę koleżankę kilku panów na ulicy zaczęło indagować w sposób nie pozostawiający wątpliwości. Ale kobieta postanowiła się ustawić w końcu i wyszła za mąż za niejakiego Wojciecha, byłego studenta prawa, który pracował w urzędzie celnym. Wojciech pochodził z bardzo starej rodziny miejskiej i to była tak zwana bardzo dobra rodzina. Ale była to rodzina zubożała i Wojciech był biedny, a kobieta miała wymagania. Koniak „Salignac Napoleon” kosztuje w lokalu kategorii „S” 1182 zł i 30 gr, „Remi Martin VOSP” 1051

zł i 40 gr, „Meukow VOSP” 1012 zł i 30 gr. Czyli marne 0,7 l koniaku kosztuje prawie tyle samo, ile wynosi pensja Wojciecha, a papirosy firmy „Benson” kosztują tyle, ile jedna dieta delegacyjna i są to znakomite papirosy z firmy, która od 100 lat jest dostawcą dworu Jej Królewskiej Mości Królowej Królestwa Anglii, czyli Wielkiej Brytanii. A na przykład półmisek firmowy eleganckich zakąsek kosztuje w dobrym lokalu 85 zł, nie wspominając już o nieśmiertelnym „dewoluju”. Kobieta zaś cały czas ma wymagania, tym bardziej, że ona i on stanowią częścią dworu pewnego znanego w Polsce playboya, który potem w wielkim zagranicznym mieście zginął. Kiedy raz playboy zaczął się przystrajać do kobiety, wówczas Wojciech dał jej w tak zwany dziób, zamknął ją w pokoju i powiedział: skończyło się. Kiedy playboy miał ochotę na jakąś dziewczynę, która na przykład w jego obecności oglądała telewizję, wtedy przecinał nożyczkami kabel od telewizora i powiedział: ucieło się. I tak sobie pogrywał. Tyle że playboy był bogaty, Wojciech był biedny, a kobieta nie przestawała mieć wymagań.

Trzeba tutaj jeszcze powiedzieć, że Wojciech miał kierownika i tak to się zaczęło. Kierownik, czyli urzędnik celny, pojechał raz do Jugosławii, gdzie poznał pewnego Włocha, który mu zaproponował sprzedaż wielkiej partii płaszczy ortalionowych, wtedy w kraju naszym jeszcze bardzo drogich. Ale kierownik nie. Tylko swój adres przeczornie Włochowi zostawił. I pewnego razu Włoch zjawił się u kierownika Wojciecha w wielkim fabrycznym mieście, mając ze sobą 1200 sztuk ortalionów. Kierownik początkowo zblił, ale

po pewnym czasie zaproponował Wojciechowi, żeby ten zawiózł dwie walizki płaszczy ortalionowych do Warszawy pod wskazany adres, a wtedy Wojciech zarobi jak należy.

Wojciech też zblił, ale przypomniał sobie swoją kobietę z wymaganiami i przypomniał sobie swego kolegę jeszcze z ławy szkolnej, który obecnie miał „Wartburga”. Sprawa zaczęła być prosta. Jest biznes, jest samochód, trzeba jechać i trzeba zarobić. Kolega Wojciecha wstępnie się zgadza i panowie zostają umówieni. Ale w ostatnim momencie kolega Wojciecha dostaje tak zwanej poruty i melduje w wydziale przestępstw gospodarczych odpowiedniej komendy MO, w co Wojciech go wciąga. Zostaje opracowana kombinacja operacyjna, która dobrze świadczy o pracy milicji w dużym fabrycznym mieście.

Wojciech i jego kolega jadą do Warszawy „Wartburgiem” z dwoma walizkami ortalionów. Zaraz za rogatką warszawską zatrzymuje ich patrol drogowy. Dokumenty proszę, pan spowodował wypadek drogowy. Nieporozumienie? Prosimy z nami, sprawa się wyjaśni. Ze kolega musi jechać do Warszawy? Proszę bardzo, zaraz jest pociąg pospieszny do stolicy, niech jedzie. Milicjanci zabierają kolegę Wojciecha na komendę „Gazikiem”, a samego Wojciecha odstawiają „Wartburgiem” na dworzec, po czym munduranci go opuszczają. Na peronie podchodzą do Wojciecha cywile. Co pan ma w tych walizkach? I stodoła się zawałiła, i zęgnajcie gołębki.

Wojciech siedzi i będzie siedział. Kierownik jego tak samo. W domu Wojciecha jest rewizja tego samego ranka, kiedy panów zagarnięto. Kobieta jest roztrzęsiona. Przycho-

dzi kolega Wojciecha i ją pociesza. Wojciech siedzi, kolega pociesza ją nadal. I dogadują się ze sobą na biał.

Człowiek, który mnie naprowadził na tę historię, studiował razem z kobietą Wojciecha i też miał do niej stosunek nieracjonalny, tyle że bez specjalnych efektów. To nie przeszkodziło kobiecie pożyczyć od niego kilkuset złotych w związku z pewną damską koniecznością, która zaistniała za sprawą kolegi Wojciecha. Człowiek pożyczył kobiecie, ale — jak powiada — przestał się tą sprawą zajmować, bo go to trochę zdenerwowało. Tylko na koniec, żeby wyjść na zupełnego dzentelmena, próbował ponoć załatwić samemu Wojciechowi skrócenie kary więzienia o jedną trzecią za dobre sprawowanie. Wojciech w więzieniu sprawnie się faktycznie dobrze, i wyszedł, i wrócił do żony, która akurat miała jechać na wakacje z jego kolegą, nadal skutecznie ją pocieszającym.

Człowiek, który mi to opowiedział, chciał zrobić Wojciechowi dobrze, a jego niewieście szczególnie, bo miał do niej platoniczny stosunek nieracjonalny. Więc Wojciech na własność i małżonkowie w jednym stadle. Dobroczynca bezpośrednio po swoich dobrych uczynkach spotkał ich na ulicy i porozmawiali. Całe plany wakacyjne mi zepsuła — szepnęła mu na stronie kobieta z niejakim wyrzutem, po czym ujęła małżonka pod rękę i zniknęła za rogiem ulicy.

Historii tej nie potrafiłbym opowiedzieć w sposób mniej tandetny, bo ona jest tandetna jak przedział drugiej klasy w pociągu ucząsowym. Ludzie, kocham was! — jak powiada mój znajomy artysta.

POM

Dokończenie ze str. 5

W szczególności ciężkiej sytuacji są tutaj uniwersytety, zaludnione — jak wiadomo — w przeważającej liczbie przez studentki, dla których wyjątkowo ciężko o zatrudnienie. W roku 1972 na Uniwersytecie Gdańskim odroczone z tego względu praktyki dla wszystkich grup „zerowych”, bo pierwszeństwo miały „niedobitki” z lat starszych, którym poprzednio też odroczone głównie ze względu na brak frontu robót. Błędne koło. A jeśli się teraz przyjmiemy, że po I i II roku zostają wprowadzone praktyki kursowe (zawodowe), to znaczna część studentów, przede wszystkim kobiet, ma legalną szansę uchylenia się od praktyk robotniczych w ogóle. Bo trudno sobie wyobrazić, żeby ktoś w czasie wakacji odbywał dwie praktyki równocześnie, czy nawet po kolei. A jeszcze jak się egzamin poprawkowy zdarzy?...

W zabezpieczeniu miejsc na praktyki robotnicze prym wiodzie resort Budownictwa i Materiałów Budowlanych. I to jest sprawa zrozumiała, typowa zarówno dla kraju, jak i dla Lubelszczyzny. Bo właśnie w budownictwie podczas miesięcy letnich brak 20—30 proc. stanu zatrudnienia (głównie spośród niewykwalifikowanych, którzy odchodzą do prac żniwnych we własnych gospodarstwach), przeto studenci częściowo wyrównują ten niedobór siły roboczej. W Lubelskim Przedsiębiorstwie Budownictwa Miejskiego powiedziano mi, że zgłaszają co roku zapotrzebowanie na 300 studentów-mężczyzn do prostych prac ziemnych i betonarskich (po 100 osób miesięcznie). U ubiegłym roku otrzymali 50 studentów i 31 studentek, z których cztery nie zaliczyły praktyki. W UMCS, który zawierał umowę z tym przedsiębiorstwem, twierdzą, że umowa ta dotyczyła 124 mężczyzn i 40 kobiet. I tak trwają przetargi: my wam damy chłopców, ale wy przyjmijcie również trochę dziewcząt. Ale budownictwo nie chce kobiet, co rozumie.

Utworzono zespoły koordynacyjne przy prezydiach rad narodowych (miejskich i wojewódzkich) do

Artykuł dyskusyjny

Studenckie praktyki robotnicze

spraw praktyk, które to zespoły mają czuwać nad przygotowaniem frontu robót dla młodzieży, a w każdym razie znaleźć zakłady gotowe udostępnić miejsca pracy studentom. Pytam w Wydziale Zaopatrzenia PWRN w Lublinie, czy w tym roku sytuacja w zakresie zatrudnienia studentek poprawiła się? Wszystkie studentki zostały zatrudnione — otrzymują odpowiedź. Pytam w Dziale Nauczania UMCS. Podane przez Wydział Zatrudnienia PWRN miejsca pracy dla kobiet są bardzo często nieaktualne, zakłady nie chcą kobiet, na przykład nadleśnictwa w Puławach, Świdniku, Strzelcach — otrzymuję odpowiedź. Kto tu mijają się z prawdą?

Tak więc nawet ograniczenie praktyk do grup „zerowych” nie rozwiązało sytuacji z zatrudnieniem, a podane kłopoty z frontem robót dla studentek nie są jedynymi trudnościami, jakie tutaj powstają. I nie bardzo widać perspektywę poprawy w tej dziedzinie, bo budownictwo stale będzie głównym reflektantem na praktyki studenckie i stale potrzebować będzie przede wszystkim mężczyzn, zaś na przykład na UMCS przeszło 70 proc. studentów to kobiety. Jak dotąd — zatrudnia się młodzież na zasadzie: byle upechać jak najwięcej osób tam, gdzie tylko da się wytargować jakieś miejsca pracy. Dochodzi nawet do takich paradoksów, że studentki AM zamiast pracować w służbie zdrowia przy prostych pracach pielęgniarstwach, pracują właśnie w budownictwie, siłą wciskane poszczególnym przedsiębiorstwom.

W styczniu br. Ministerstwo Szkolnictwa Wyższego i Techniki opublikowało ocenę studenckich

praktyk robotniczych za rok 1972. Mówi się tam o trzech przynajmniej celach przedsięwzięcia: „wzbogacenie doświadczeń społecznych studentów poprzez bezpośredni udział w zorganizowanym procesie pracy”, „ulatwienie przyszłym studentom startu w społeczności szkoły wyższej”, „tworzenie wartości gospodarki narodowej”. Bardzo pięknie. W obowiązujących, jak dotąd, wytycznych do zarządzenia ówczesnego ministra Oświaty i Szkolnictwa Wyższego z dnia 4. III. 1970 r. mówi się o praktykach robotniczych „jako integralnej części procesu dydaktyczno-wychowawczego szkoły wyższej”. Zalecenia resortu zmierzają do tego, by 20—40-osobowe hufce młodzieży „tworzyć na bazie przyszłej grupy studenckiej”, zaś komendantami hufców miałyby pracownikowie naukowych, którzy z przyszłymi grupami studenckimi będą mieć zajęcia akademickie. Zaleca się też, by — jeśli to możliwe — miejsca pracy wybierało zgodnie z kierunkiem studiów.

Organizację studiów, podział na grupy (z reguły alfabetyczny!), przydział zajęć dla asystentów robi się we wrześniu, zaś sprawy praktyk ostatecznie organizuje się w lipcu i sierpniu. W związku z tym oraz z sytuacją w zatrudnieniu szlachetne zalecenia resortu wydają się całkowicie nierealne, a umożliwienie „beanom” poprzez praktyki aklimatyzacji w społeczności szkoły wyższej — mocno wątpliwe. Tym więcej, że na stanowiskach komendantów hufców często obsadza się ludzi przypadkowych, asystentów z niewielkim stażem i doświadczeniem dydaktycznym. Po prostu nie ma nieraz wyboru, gdyż okres wa-

kacji to czas urlopów (1,5-miesięcznych), obozów i praktyk naukowych, którymi opiekują się najbardziej doświadczeni asystenci, czas studiów podyplomowych, a ostatnio również zajęć na zaocznych studiach dla nauczycieli. Bywają przypadki, że na tydzień przed rozpoczęciem praktyk kierownik zakładu prosi dziekana o zwolnienie asystenta z obowiązków komendanta hufca i trzeba sytuację łączyć nieprzeszkolonym studentem ze starszego roku. Nie lepiej też wygląda sprawa z zastępcami komendantów hufców, którzy powinni być rekrutowani spośród najbardziej zasłużonych działaczy organizacji młodzieżowych, głównie SZSP. Ale znowu sytuacja wakacyjna skazuje na doborz całkowicie przypadkowy i najwięcej jest problemów właśnie z zastępcami komendantów hufców, mającymi przecież organizować całą pozaprodukcyjną działalność hufca (wychowawczo-rozrywkową), a przy tym muszącymi pracować na równi z szeregowymi uczestnikami praktyk (czego początkowo nie było). Najwartościowsi działacze młodzieży z reguły spędzają wtedy czas na atrakcyjniejszych imprezach „Akcji Lato”. Nic dziwnego, że kontrola praktyk ze strony SZSP mocno kuleje. Tak ma wyglądać wejście młodzieży w społeczność akademicką! Pierwszy kontakt z tą społecznością!

Przed wszystkim więc jest to pierwszy kontakt ze społecznością zakładu pracy i z samą pracą fizyczną. W jakich warunkach ten kontakt się odbywa? Pomijam ra-

żące przypadki całkowitego nieprzygotowania w przedsiębiorstwach frontu robót, pracy bezcelowej, pozornej lub zwyczajnych przestojów z łopatą w rękę. Podobno sytuacja w tym zakresie ostatnio się poprawia. Lecz generalnie rzecz biorąc — nasze budownictwo, a po części i przemysł owocowo-warzywny (główny odbiorca pracy kobiet-studentek), nie jest, w sezonie letnim szczególnie, wzorcem organizacyjnym ani moralnym dla ludzi, którzy po raz pierwszy stykają się z zakładem pracy. I to trzeba sobie otwarcie powiedzieć. Zresztą pół-słówkami przynajmniej to sami dyrektorzy przedsiębiorstw. Wielki też panuje balagan w wynagradzaniu studentów. Każde przedsiębiorstwo płaci według własnych pomysłów. Jak w tym wszystkim ma wyglądać „wzbogacenie doświadczeń społecznych studentów poprzez uczestnictwo w zorganizowanym procesie pracy”?

Ponadto nie ludźmy się, iż każda praca uszlachetnia i wychowuje. Dążymy do zmechanizowania czynności monotony i męczących, które dotąd robotnik wykonywał ręcznie. Ale przecież jeszcze masa zakładów nie może sobie pozwolić na taką mechanizację. Studentów zaś zatrudnić trzeba. I wątpliwe bardzo w wartości wychowawczą monotonnego naklejanja tysięcy nalepek na słoiki z przetworami owocowymi i winami tegoż gatunku, choćby nawet zarobek nie był najgorszy. Idealnym by było, gdyby studentów zatrudniać w zakładach najnowocześniejszych, żeby mogli obejrzeć nowoczesny proces technologiczny i w miarę swych możliwości w tym procesie uczestniczyć. Ale ten ideał daleki od spełnienia.

W wytycznych do wspomnianego zarządzenia ministra Oświaty i Szkolnictwa Wyższego mówi się: „Należy konsekwentnie przestrzegać zasady, że praca, którą studenci będą wykonywać w ramach praktyk robotniczych, musi być przydatna gospodarce narodowej”. I chyba spośród wszystkich celów, jakie przed tymi praktykami stawiał re-

Józef Baran

Współczesny poeta

poeta zamknięty między czterema białymi ścianami kartek papieru

śmieje się do kartek papieru krzyczy na kartki papieru rozdziera szaty i kartki papieru kocha naród na kartce roni łzy nad kartką przegląda się w kartkach stoi miny przed kartkami zasypia zmęczony wirów kartek

w nocy śni mi się że to nie kartki ale ludzkie twarze otaczają go zwartym kołem

NOWOŚCI WYDAWNICZE

POEZJA

Bolesław Fac: Damroka. LSW 1973 s. 40, zł 10. Poemat oparty na motywach folkloru kaszubskiego.
Leszek Herdegen: Wiersze. Wydawnictwo Literackie 1973 z 18. Drugie wydanie — poszerzone — wierszy zaskakujących odkrywczą metaforą.
Jacek Kotlica: Zwierzyniec Pani Res. Poezje. Wydawnictwo Morskie 1973 s. 72, zł 18. Trzeci tom wierszy gdańskiego poety ur. w 1939 r., wywodzącego się z Lubelszczyzny.
Bogdan Pasternak: Klątwa. Poezje. Wydawnictwo Łódzkie 1973 s. 45, zł 10.
Jadwiga Tyrankiewicz: Na najbliższej drodze. Poezje. Wydawnictwo Morskie 1973 s. 38, zł 10.
Bohdan Urbankowski: W cieniu. Poezje. Wydawn. Iskry 1973 s. 36, zł 18. Drugi tom wierszy młodego poety debiutującego w Wydawnictwie Lubelskim.

POWIEŚĆ

Ewa Białous: Lustró. Wydawn. LSW 1973 s. 206, zł 13. Debüt prozatorski wyróżniony w konkursie LSW.
Władysław Baran: Związek bezimiennych. Wydawn. Śląsk 1973 s. 222, zł 22. Cztery opowiadania o ludzkiej zagubioności, ubogich i lekceważonych.
Jalu Kurek: Bestia. Wydawnictwo Literackie 1973 s. 169, zł 10.
Maria Szulecka: Czeremcha pachnie gorzko. Wydawn. Łódzkie 1973 s. 314, zł 17. Drugie wydanie początkowej współczesnej powieści o tematyce wiejskiej.
Lucyna Legut-Werecka: Nie zabijajcie Desdemony. Wydawn. Morskie 1973 s. 202, zł 20. Powieść sensacyjno-obyczajowa.

TEATR

Leon Kruczkowski: Dramaty. PiW 1973 s. 220, zł 22. Pozycja w pięknej edycji Biblioteki Literatki XXX-lecia.
Listy miłosne Kazimierza Junoszy-Stępczowskiego. Oprac. H. Szletyński. PiW 1973 s. 129, zł 23. Około 50 listów miłosnych z lat 1921—1939 znanego aktora teatralnego i filmowego sprzed II wojny światowej.
Józef Szczubieński: Żywot Osterwy. Wyd. 2. PiW 1973 s. 634, zł 50.
Bohdan Korzeniowski: O wolność dla porucznika... w teatrze. PiW 1973 s. 470, zł 50.
Wybór artykułów i rozpraw profesora Wyższej Szkoły Teatralnej w Warszawie.
Słownik biograficzny teatru polskiego. 1765—1965. PWN 1973 s. 993, zł 220. Słownik zawiera ok. 6500 haseł biograficznych aktorów, śpiewaków, tancerzy, reżyserów, scenografów, dyrektorów i kierowników artystycznych i literackich teatrów oraz dyrygentów. Bibliografia, indeksy, podobizny, ilustracje.

HISTORIA

Marian J. Lech: Hugo Kollataj. Wydawn. KiW 1973 s. 428, zł 23.
Władysław Serczyk: Piotr i Wielki. Ossolineum 1973 s. 262, zł 43.
Ludwik Czerwinski: Wspomnienia dowódcy obrony Zakroczyimia w 1939 r. Wydawn. KiW 1973 s. 108, zł 18.
Zamek Królewski w Warszawie. Ossolineum 1973 s. 102, zł 20. Druk o walorach bibliofilskich.

WOJSKO

D. A. Iwanow, W. D. Sawieljew, P. W. Szemanski: Zasady dowodzenia wojskami. Wydawn. MON 1973 s. 350, zł 40.
Ryszard Majewski: Wyższa Szkoła Oficerska Wojsk Zmechanizowanych im. T. Kościuszki. Zarys historii 1943—1963. Wydawn. MON 1973 s. 223, zł 42.
Stanisław Torzecki: 1000 słów o broni i balistyce. MON 1973 s. 253, zł 40. Informator o charakterze podręcznej encyklopedii zawierający 1400 haseł dotyczących broni i balistyki.

sort, oraz spośród wszystkich krępujących zaleceń, ten cel, nie najważniejszy przecież, stosunkowo najbliższy jest spełnienia. „Tworzenie wartości gospodarki narodowej” wychodzi jeszcze najlepiej. Aczkolwiek dotąd tu i ówdzie wśród uczestników praktyk, a nawet wśród komendantów hufców, panuje przekonanie, że czy się stoi czy się leży... I z tym przekonaniem zakłady muszą walczyć i walczyć, wprowadzając, gdzie można, pracę akordową i narzekając przy tym, iż uczelnie nie zawsze potrafia wpoić studentom właściwy stosunek do pracy, a przynajmniej poinformować o wymaganiach zakładów.

Można wszak powiedzieć, że tu sytuacja istotnie poprawia się i że wydajność pracy studenta, choć niższa od wydajności etatowego robotnika, to poważna pomoc szczególnie dla tych działów gospodarki narodowej, których działalność opiera się na pracy sezonowej czy też tych, które mają trudności z siłą roboczą w okresie letnim. Uczestnicy praktyk w Przedsiębiorstwie Remontowo-Budowlanym Gospodarki Komunalnej nr 1 w Lublinie, od lat wypróbowanym sojusznikiem całego przedsięwzięcia, potrafili zarobić nawet po 2800 zł (mężczyźni), dając za to odpowiedni wkład pracy — jak mi powiedział komendant tegorocznego sierpniowego hufca. Bywają jednak przypadki, że dziewczęta, zatrudnione przy pracach porządkowych na budowach, nie zarobiły nawet po 800 zł.

Jak widać — zasadnicze cele, stawiane przed praktykami robotniczymi studentów, nie bywają w konkretnych warunkach osiągnięte, przynajmniej nie wszystkie. Resort za-

mierza praktyki utrzymać w przyszłości, mimo że począwszy od tego roku szkolnego młodzież — zgodnie z programem nauczania — i tak z pewnością się z pracą fizyczną w szkołach i to wcale nie w bagatelny wymiarze, jeśli zważyć, iż ta praca obowiązuje już od I klasy szkoły podstawowej. Na studia w przyszłych latach będą więc przychodzić ludzie mający coraz większą styczność z pracą fizyczną.

Ale może ktoś powiedzieć, że to nie zastąpi praktyk miesiecznych w zakładach pracy. Jeśli więc utrzymać te praktyki w przyszłości, to co trzeba zrobić, żeby przynajmniej w części większej niż dotąd spełniały swoją rolę? O wiele starszy przygotowywać front robót, przede wszystkim pod względem jakościowym. Dla hufców kobiecych trzeba by pomyśleć o znacznie szerszym niż dotąd wykorzystaniu miejsc pracy w gospodarce leśnej (pozytywnym doświadczeniem służy na Lubelszczyźnie działalność OHP na linii: Biłgoraj — Nisko).

A może zrezygnować w ogóle z grup „zerowych”, ze względów wspomnianych na początku artykułu? Zaś praktyki zawodowe tak usytuować w programie studiów, iżby praktykami robotniczymi objąć głównie studentów I roku (oraz „niedobitki” z II roku studiów). Da to ten zysk, że będzie mniej osób podlegających obowiązkowi praktyki, gdyż część naturalnym odświeżeniem odpadnie po I roku. Odpadłaby wtedy jednak również zasada „ulatwienia przyszłym studentom startu w społeczności szkoły wyższej”. Więc rozwiązanie nie idealne.

Maciej Podgórski

Następny numer „KAMENY” ukaże się w zmienionym formacie i nowej szacie graficznej. 16 stron — 3 zł

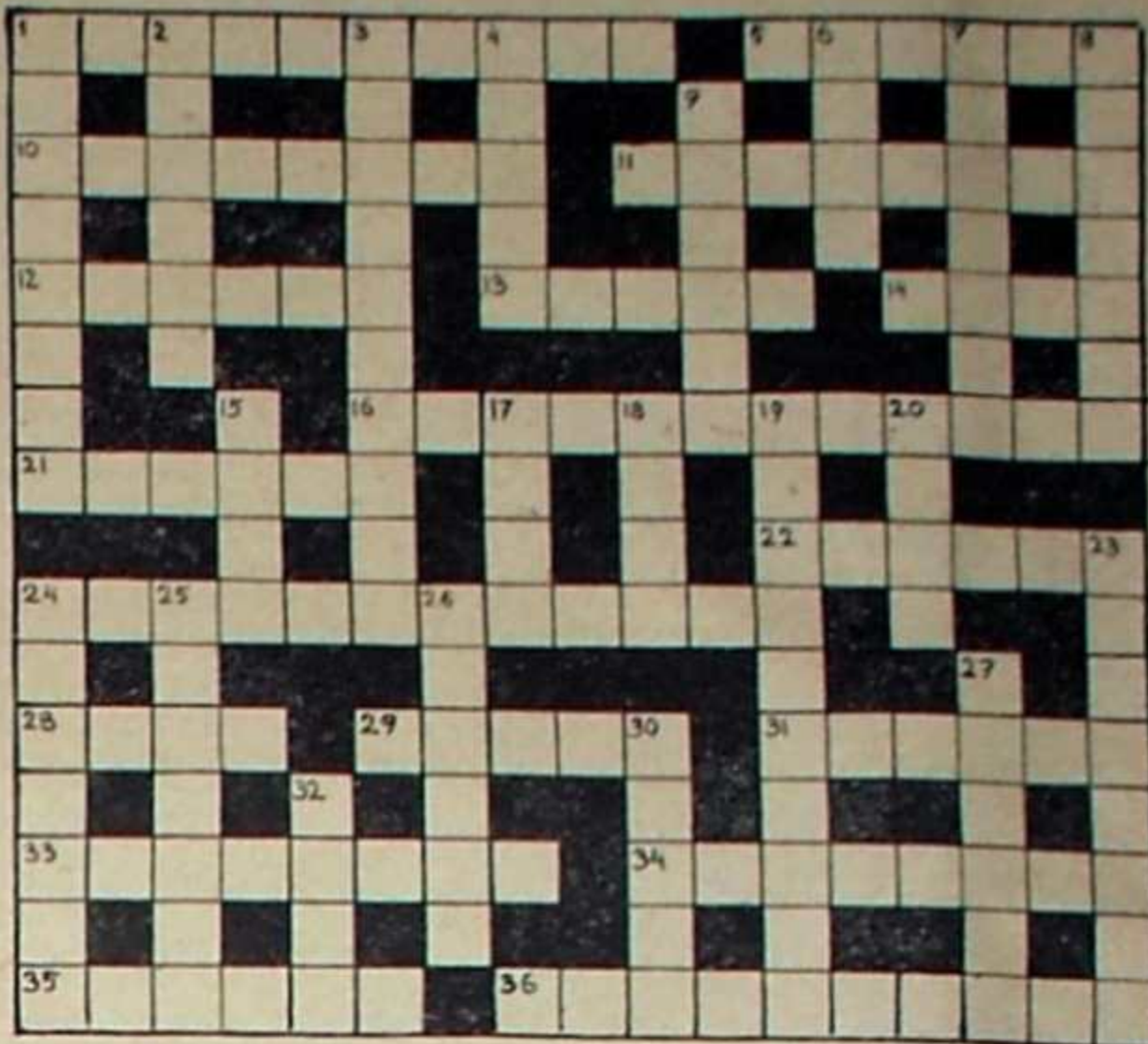
Krzyżówka nr 19

Poziomo: 1. pisarz francuski z II połowy XIX wieku, autor powieści „Bel Ami”, 2. polecenie wojskowe, 18. sztuka wymowy, 11. odpustowe cukierki, 12. śrubstak, 13. jedna z form popierania twórczości plastycznej, 14. 100 lat, 16. bawarska miejscowość słynąca widowiskami pasyjnymi, 17. dawna stolica Polski, 22. ozdoba lubelska na głowę, 24. współczesny pisarz polski, autor „Najjeździeców”, 25. Republika Irlandzka, 26. francuski pisarz, laureat Nagrody Nobla w 1937 r., 21. ośrodek administracyjny Pakistanu, 23. wielki utwór muzyczny, 24. 15 minut, 25. francuski malarz lub jego syn reżyser filmowy, 26. dramaturg polski, autor „Dwu teatrów”,
Pionowo: 1. niedawno zmarły pisarz polski, pierwa Śląska i górnicwa węglowego, 2. francuski reaktorista, 3. poeta — organizator Akademii Zamojskiej, 4. piął go często pewien malarz, 6. przepływa przez Cieszyn, 7. angielski pisarz, autor „Kłosa”, 8. miasto w NRD, w którym produkowany jest Trabant, 9. atak, 13. syn Dedala, 17. w mitologii germańskiej, istoty przebywające w wodzie, powietrzu i na ziemi, 18. grecki Mars, 19. wiosk malarz i rzeźbiarz tworzący w latach 1898—1928 w Paryżu, 20. dawny pieniądz hiszpański, 21. lekarz, autor książki „Wojna, ludzie i medycyna”, 24. pisarz amerykański, autor „Tragedii amerykańskiej”, 25. wybitny, współczesny reżyser filmowy, szwedzki, 26. uporządkowane słowa, 27. powieść o miłości, 28. odłam religijny, 29. pustynia w centralnej Azji.

Rozwiązania można nadsyłać w ciągu 7 dni od daty ukazania się numeru pod adresem redakcji (skr. poczt. 131, 20-990 Lublin). Wśród autorów prawidłowych rozwiązań rozlosujemy cztery bony książkowe (po 40 zł).

Rozwiązanie krzyżówki Nr 17

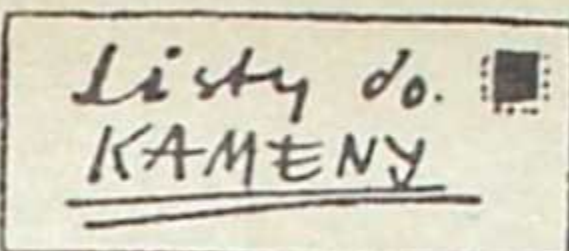
Poziomo: Sokrates, pilaster, Ossendowski, Austria, Zyta, wykład, anonim, Kopnicka, Konarski, Schiller, Kraszewski, ewaniki, odmowa, wrak, nietakt, Lenartowicz, diamenty, anakonda.



Pionowo: Stoczek, kaseton, Arno, erytyki, Iliada, Arystofanes, Tworcki, regaty, osilek, Apollinaire, makak, Ojców, czyk, Akra, romans, suweren, stadion, inwazja, Conrad, arena, kotlet, wosk.

Za prawidłowe rozwiązanie krzyżówki nr 17 4 bony książkowe o wartości 40 zł

każdy wylosował: Bolesław Kozłowski 20-027 Lublin, ul. Sądowa 6 m. 1, Maria Kucharczewicz: 21-569 Bielsko Podlaska, ul. Chrobrego 5/23, Kazimierz Świński, 75-300 Słupsk, ul. Ks. Brzóska 48, m. 2, Krystyna Mazurek, 93-313 Łódź, ul. Pałanicka 20 m. 15.



„Smak miłości i leż”

Zwracam się z prośbą o przysłanie mi odcinków „Smaku miłości i leż”, publikowanych w 10, 12 i 13 numerach „Kamenu”, ponieważ ta opowieść bardzo mi się podoba. Mieszkałam w województwie katowickim, a u nas, w Bielsku Białym, trudno dostać „Kamień” — czasami jest, a czasami nie ma. Tę opowieść przepisyuję do zeszytu, bo bardzo ładna. (...)

Maryla Sawczuk
Stare Bielsko 36
43-300 Bielsko Białe

OD REDAKCJI: Niestety, nie dostarczamy archiwalnych numerów „Kamenu”. Podając Pani adres liczymy, że prośba zostanie, być może, spełniona przez innych czytelników „Smaku miłości i leż”.

Piszę studiując wypowiedzi czytelników na temat „Smaku miłości i leż” i już teraz mogę stwierdzić, że druk tej powieści należy zaliczyć do przedsięwzięcia nadspodziewanie udanych. Co będzie dalej, zobaczymy. Na razie proszę przyjąć szczerze gratulacje z powodu świetnego pomysłu.

Zaskoczyła mnie trochę odpowiedź udzielona czytelnikom w 15 numerze „Kamenu”. Jeśli rzecz ma być prowadzona konsekwentnie do końca, powieść powinna zostać wydana w formie książkowej, choćby na zasadzie subskrypcyj. Wyobrażam sobie tę książkę jako coś niezmiernie stylowego. Myślałam o ilustracjach Wiesława Fuglewicza, lub Andrzeja Czeczota — pozostaje jednak przy odpowiednio porównaniach zdjęciach. Model u Lublinie nie zabraknie.

Na początku, być może, niektórzy malkontenci będą zalamywali ręce, sądząc jednak, że po kilku latach wydawnictwo stanie się prawdziwym rarytatem bibliofilskim.

K. L.
Bielawa
(nazwisko autora znane redakcji)

OD REDAKCJI: „Smak miłości i leż” zdobywa dalszych czytelników, co powinno satysfakcjonować redakcję. A my tymczasem zaczynamy czuć się jakoś tak niewyrażnie, jako że intencje przysyłające publikacji wyrażonego „Smaku” nie zakładały takiego sukcesu. Pewna grupa czytelników zgłaszała reguły gry, zaproponowane przez redakcję już na wstępie całej historii, i stosuje własne. No i mamy gotowy groch z kapustą. Czym to się je? Jesteśmy przecież sługami swych czytelników, ich pragnienia są naszymi pragnieniami. Ale czy nieczyny zespół redakcyjny jest w stanie dzielić pragnienia i tęsknoty kilkunastu tysięcy, których oczekiwania są tak zróżnicowane? Bo przecież nie brak głosów potępiających „Kamień” za drukowanie mdłego — zdaniem tej grupy — „Smaku”. Ponieważ jednak nie kto inny, tylko my rozpoczęliśmy zabawę, postaramy się honorowo wybrnąć z zagmatwanej sytuacji. Ostrożnie zatem miłośników „Smaku”, że powieść skończy się tragicznie, trup trupowi nie daruje. Więc może przestaćcie czytać smutną powieść, której epilog zdęguje Was na całe życie, a może nawet przyczyni się do powstania nerwice lekowych? Przeciwników zaś informujemy, że finał „Smaku” bliski. Ze zrozumiałych względów nie jesteśmy w stanie podać dokładnej daty.

Korespondentowi z Bielsawy winni jesteśmy dwa słowa odpowiedzi. Nie możemy doprowadzić do książkowej publikacji „Smaku miłości i leż”, albowiem tak daleko nasze wpływy nie sięgają, a poza tym bardziej zainteresowani jesteśmy subskrypcją „Baśni z 1961 nocy”, ogłoszonej trzy miesiące temu, co przeczyliśmy. Czy nie ma Pan jakiegoś „dojścia” do ludzi władających ową subskrypcją?

„Struktura emocjonalna a społeczna adaptacja”

W rzeczowym i interesującym artykule „Struktura emocjonalna a społeczna adaptacja” („Kamena” 16/73) znalazło się kilka zdań ogólnych, z którymi nie można się zgodzić ze względu na fakty i logikę.

Autor wymienionego artykułu próbuje nam wmówić, że osoby mające „zdolność do przeżywania subtelnych stanów uczuciowych”, „z punktu widzenia biologicznego są to ludzie słabi. Z punktu widzenia społecznego są to ludzie niedostosowani. Z punktu widzenia moralnego są to ludzie dobrzy”. I dalej sugeruje: żeby wygrać „twardą codzienną walkę o byt... trzeba za wszelką cenę wyżyć się przeczulicy, przewrażliwienia i subtelności. Trzeba stać się chłodniejszym uczuciowo... Z punktu widzenia moralnego trzeba stać się gorzszym... Możemy podać leki tłumiące hiperestezję — możemy zmienić pewne cechy struktury osobowości. W tych przypadkach lekarz działa na prośbę chorego, który nie jest chory, ale który musi zrezygnować z pozytywnych cech swojej struktury w imię potrzeby adaptacji społecznej. Uniwersalne prawo do zachowania życia realizuje się przez rezygnację z własnych walorów”. Przepraszam za te przydługie cytacje, ale zawierają one treść nie obiektywnego stanu rzeczy, li tylko osobistej filozofii ich autora — fałszywego pojmowania i pomieszczenia pojęć oraz faktów. Początkowo, czytając wniosek, byłem tylko przygnębiony, iż walory subtelności odczuwania i moralności pozytywnej, czym chlubi się człowieczeństwo, stanowią nieomal zespół chorobowy psychiki nadwrażliwości, z czego trzeba się leczyć. Na szczęście przysyła mi w sukurs chłodne i nie wydumane fakty, zaprzeczające w całości wyrażony z taką pewnością pewnością i „prawom”. Po pierwsze autor myli pojęcia dobroci i subtelności odczuwania; wiadomo, że oprawcy obozów koncentracyjnych byli w przytaczanym życiu subtelni, melomanami i tkliwymi ojcami rodzin, co nie przeszkadzało im bestialsko znęcać się nad więźniami. Nie jest więc prawdą, że między zdolnością odczuwania a jakością zachowania etycznego istnieje konieczny związek, etyka ocenia bowiem postępowanie obiektywnie, a nie subiektywnie przezycia. Subtelny sposób życia nie świadczy o wysokiej kulturze moralnej, w czym pospolicie ludzie dobrze się orientują: znane jest wszem wobec kulturalne chamsstwo i popielanie przez niektórych osobników światła w biułych rekwizycjach, z wysokimi motywacjami subiektywnymi. Sądzę, że na ten temat warto podjąć szerszą dyskusję, żeby wreszcie nauczyć ludzi odróżniania pojęć i prawidłowej klasyfikacji etycznej.

Stabosć biologiczna hiperestezji wynika w istocie z błędnego pojmowania kultury i etyki, reprezentują oni postawę konsumpcyjną, bardziej cenią swoją subtelność przezycia, od wagiłowej pracy i pomocy bliźnim, ich kultura i delikatność stanowią formę uniku.

Wbrew podstawowej tezie, którą eksponuje autor „Struktury emocjonalnej”, iż prawo zachowania życia zakłada rezygnację z własnych walorów, w tym również z zasad etycznych wyżej pojętych, nie przeciętnie — właśnie życie w społeczeństwie umożliwia „pokazanie się” osobowości z jej najlepszymi i najgorzej szych stron. Tylko w społeczeństwie można pozostać świętym i nieponiem, artystą i beztalenciem. Warto na koniec zauważyć, że być człowiekiem dobrym jest o wiele trudniej, niż być złym —

o czym każdy łatwo może się przekonać, próbując np. opanować irytację wobec drugiej osoby. Dobry nie znaczy delikatny i czuły, to za mało.

W końcowej części artykułu, podając przykład patologicznej reakcji kompensacyjnej (okaleczonej dziewczynki), która rodzina leczy z marzeń, przy pomocy psychiatrów, autor zapomina dodać, że szkoda dla pełniejszej informacji, iż każdy człowiek ma prawo do marzeń i ogromna większość ludzi doskonale potrafi odróżnić rzeczywistość od marzeń. Śmiem twierdzić, że właśnie objawem patologicznym jest brak wyobraźni, który objawia się między innymi nieumiejętnością snu na jawie. Sądzę, że halucynacje naszej młodzieży i prymitywizm jej subkultury i fascynacji wynikiem z tłumienia w niej zdolności do oddawania się marzeniom, na których wyrosła cała kultura humanistyczna — ale to już jest moje osobiste zdanie.

Rab.

»KAMENA«

Nr indeksu 36-406

Pismo Lubelskiego Oddziału Związku Literatów Polskich. Założyciele:

KAZIMIERZ ANDRZEJ JAWORSKI

I ZENON WAŚNIEWSKI. Redaguje zespół: JERZY DOSTAŃSKI (sekretarz redakcji) MAREK ADAM JAWORSKI (redaktor naczelny) BOGDAN MADEJ, ZYGMUNT MAŃKOWSKI, ZYGMUNT MIKULSKI (kierownik działu literackiego) oraz MIROSLAW DERECKI, IRENEUSZ J. KAMIŃSKI i MACIEJ PODGÓRSKI. Redaktor techniczny i korektor — IRENA KOMOSA.

Cena prenumeraty krajowej: rocznie — 52 zł, półrocznie 26 zł, kwartalnie 13 zł. Prenumeraty przyjmowane są do dnia 10 każdego miesiąca poprzedzającego okres prenumeraty. Prenumeratę na kraj dla czytelników indywidualnych przyjmują urzędy pocztowe oraz listonosze. Wszystkie instytucje państwowe i społeczne w miastach zamawiają prenumeratę wyłącznie za pośrednictwem oddziałów i delegatur RSW „Prasa — Książka — Ruch”. Pozostałe — mając siedzibę na wsi lub w innych miejscowościach, w których nie ma oddziałów ani delegatur, zamawiają prenumeratę za pośrednictwem urzędów pocztowych.

Prenumeratę na zagranicę przyjmuje: RSW „Prasa — Książka — Ruch”. Biuro Kolportażu Wydawnictw Zagranicznych Wronia 23, 00-348 Warszawa, konto PKO 1-6-100024. Cena prenumeraty dla zagranicy jest wyższa od prenumeraty krajowej o 40%.

Redakcja nie zwraca materiałów niezamówionych i zastrzega sobie skróty.

Wydawca: RSW PRASA — KSIĄZKA — RUCH Lubelskie Wydawnictwo Prasowe Lublin, ul. Jasna 6. Druk: Lubelskie Zakłady Graficzne im. PKWN, ul. 4.

Numer łamaj: MIECZYSLAW PSUJEK

Adres redakcji: 20-816 Lublin, ul. Narutowicza 23

Telefony: sekretariat i naczelny redaktor 235-32 sekretarz redakcji i dział publicystyki 275-35.

Korespondencje zwykłe prosimy kierować pod adresem: 20-990 Lublin i skrytka pocztowa 131; polecenie i ekspresowe — pod adresem redakcji.

LZGrań. Zam. 216. S.IX.73. 13.36. G-2.

Kamena str. 11

KULTURA 1973

Literatura

● Dwie nowe ekspozycje poświęcone Beyon-Zelenskiemu oraz współczesnej poezji polskiej otwarte zostały w Muzeum Literaturnym im. Adama Mickiewicza w Warszawie. Pierwsza, zatytułowana „Młoda Polska i Bóg”, przygotowano z myślą o przypadającej w przyszłym roku 100 rocznicy urodzin pisarza.

● W październiku ukazała się na półkach księgarskich pierwsze trzy tomy nowego zbiorowego wydania „Dzieł” Stefana Żeromskiego, obejmujące opowiadania, nowele i krótkie utwory powieściowe. Edycja „Dzieł” podjęta została przez „Czytelnik” dla uczczenia 50 rocznicy śmierci autora „Popiołów”. W projektowanych 23 tomach znajdzie się cała spuścizna beletrystyczna pisarza.

● Zakład Kryminalistyczny UW ogłosił wyniki ekspertyzy grafologiczno-porównawczej, stwierdzającej autentyczność listów Chopina do Deiny Potockiej. Fakt ten nie przetrwał ostrych polemik, od 25 lat toczącej się wokół „listów deiny”.

● „Był to człowiek średniowiecza, zabłąkany w naszych czasach” — oto zdanie jednego z pism francuskich o po-

wieściopisarzu i esejście Georges Bernanos (1888-1948), którego 15 rocznica śmierci minęła niedawno. Bernanos przedstawił w swoich utworach dramaturgię tamtej epoki, kiedy kult pieniądza zastąpił klasom uprzywilejowanym ideały religijne, poszanowanie honoru, miłość ojczyzny.

● Czerdziestolecie pracy twórczej obchodził opolski satyryk Stefan Chmielecki, który zadebiutował w 1933 r. w ogólnopolskim konkursie Polskiego Radia. Autor współpracuje z czasopismami ukraińskimi w ZSRB, pod koniec roku w Lwowie wydany zostanie jego zbiór fraszek i bajek.

Teatr

● Już 340 razy grane było „Wesele” Wyspiańskiego w reżyserii Hanuszkiewicz i scenografii Killana. Wystawiony na deskach Teatru Powszechnego w Warszawie, a obecnie prezentowany w Teatrze Narodowym spektakl utrzymuje się w repertuarze od blisko 10 lat. Obejrzało go dotychczas przeszło 250 tys. widzów. Obecnie Teatr Narodowy przygotowuje nową wersję tego widowiska.

● Redakcja jednego z pism węgierskich przeprowadziła ankietę na temat teatralnie wrodzonego przedstawiciela sztuki w środowisku i zawodzie. Oto jedna z wypowiedzi, autorstwa socjologa: — Jako widz nie uznaję prymatu jednego stylu w teatrze. Nie uważam też, że forma decyduje o nowoczesności charakteru przedstawienia. Najbardziej nowatorska forma nie wypełniłaby w pełni

Po głośnym sukcesie „Kochanego klamcy”, Jerome Kilty próbował opracować dramaturgię listy, które pisywał do siebie Robert Browning (1812-1889), poeta i dramaturg angielski oraz poetka Elizabeth Barrett, późniejsza żona poety. Tym sposobem powstała „Kochana miłość” nie dorównuje pono „Kochanemu klamcy”.

Sztuka

● ZPAP liczy obecnie ponad 8 tys. członków, lecz 80 proc. artystów nie ma pracowni. Oznacza to, że rozwój naszej sztuki dokonuje się często drogą dużych wystawek, nie związanych z samym tworzeniem, nie wiele sił i energii twórcy muszą poświęcić na zabezpieczenie możliwości uprawiania swych dyscyplin. W sytuacji tej są także ludzie znani, nagradzani, których prace znajdują się w muzeach.

● Prezydium MRN podjęło działania inwestycyjne w kierunku znalezienia centrum miejskiego. Rozpisany zostanie konkurs, w którego wyniku zostają będą mogli przedstawić swoje propozycje. W ścisłym związku z programem modernizacji jest i Ogólnopolski Plener Rzeźbiarski w Bydgoszczy z udziałem 13 twórców. Prace powstałe na nim gospodarze wykorzystują dla celów urbanistycznych i architektury — informuje plastyk miejski Bydgoszczy, malarz L. Romanow.

● Javier Salas, dyrektor niezwykle osobnego w dzieła sztuki malarzkiej

Muzeum Prado, ogłasza alarm. Powietrze w Prado jest tak zanieczyszczone, że bezczelnie głośno niszcząc niebezpieczeństwo. Zdaniem J. Salasa, zanieczyszczenie atmosfery w Prado — pochodzi z ważnego zaturcja powietrza madryckiego — jest największe spośród wszystkich muzeów świata.

Muzyka

● XVII Międzynarodowy Festiwal Muzyki Współczesnej „Warszawska Jesień”, który odbędzie się w dniach od 22 do 30 września, pomysły jest podobnie jak dotychczasowe, jako szeroka prezentacja nowości światowej muzyki. Zapowiedziano 7 koncertów symfonicznych i 12 kameralnych oraz jeden spektakl w Teatrze Wielkim.

● W 1973 r. odbędzie się w Bydgoszczy czwarty z kolei Festiwal Muzyki Dawnej Krajów Europy Środkowej i Wschodniej, poświęcony kulturze muzycznej od XIII do XVI wieku. Tematem trzech poprzednich festiwali były kolejno: ogólny przegląd zabytków muzyki dawnej, muzyka renesansu i baroku oraz muzyka XVII i XVIII wieku. Nadchodząca impreza już obecnie wzbudza zainteresowanie w świecie muzycznym.

● Nowy sezon rozpoczęła Opera Wroclawska pod dyrekcją i kierownictwem artystycznym Bolesława Jankowskiego. Przygotowały się m. in. polską operę „Wojna i pokój” Byszarda Bukowskiego wg Norwida pt. „Pierścionek wielkiej damy”. Libretto Marii Straszewskiej. Planowany jest również wieczór polskich baletów m. in. do muzyki Karłowicza i Szabelskiego.

Film

● Nagrodzona w Locarno i entuzjastycznie przyjęta przez prasę szwajcarską „Luminacja” Zdzisława Powstała w czasie 45 dni zdjęciowych. Swego ro-

dzaju ewenementem jest wystąpienie w filmie kilku wybitnych uczonych polskich, wśród nich filozofa, estetyka i historyka sztuki, prof. W. Tatarkiewicz. Do kin krajowych „Luminacja” trafi w październiku.

● MacKenzie, bohaterka wywiastawnych w Locarno „Szkiców amerykańskich” George’a Lucasa, która ponadto zdobyła już złoty sławek jako piosenkarka w amatorskim zespole „Beatwom”, oświadczyła w wywiadzie dla dziennikarzy, że jest już nieco „znużona” życiem, a także, że jej marzeniem — „zostać Maryliną Monroe lat siedemdziesiątych”. A lat ma trzydzieści.

● Radziecy filmowcy podejmują ekranizację kilku utworów powieściowych Aleksieja Tołstoja (1828-1910), m. in. S. Gierasimow przystąpił do realizacji filmu opartego o dzieło „Fioła”. Pona fabuła powieści w scenariuszu wykorzystano materiały historyczne.

Lubliniana

● Niemal ćwierć wieku temu Zakładowy Dom Kultury Fabryki Samochodów Cietarowych, największego zakładu przemysłowego Lubelszczyzny. Działalność ZDK koncentruje się w następujących sferach: wokalistyczno-instrumentalnym, muzyki rozrywkowej, baletowych, jazzowym, sekcji rytmicznej, chórze młodzieżowym, klubie ludowej, chórze estradowego, kapeli ludowej, estrady dziecięcej, estrady poetyckiej, orkiestry dętej, teatru lalkowego „Mikrus” i kabaretu „Semafor”. Niedawno zapadła decyzja budowy środowiskowego domu kultury, wznieszonego wspólnie przez fabrykę i miejską radę narodową.

● Być może już w przyszłym roku na Roztoczu powstanie park narodowy, gdzie m. in. zachowały się komplekty lasów bukowo-jodlowych. Sprawa ochrony tego pięknego i zasobnego w ciekawe okazy fauny i flory rejonu Lubelszczyzny ma już co najmniej kilkusetletnią tradycję.

Gawęda o gigantach

CAPABLANCA był brytyjskim mistrzem szachów. Alechim miał za maskotkę kota imieniem „Check”, który przed meczem obwąchiwał szachownicę. Steinitz posiadał przydomkę „stary mistrz młodej szkoły”. Petrosjan — „żelazny tygrys”. Tal — „szachowy wicher”. Botwinnik — „niezręczona piramida”. W meczu o mistrzostwo świata w roku 1966 między Petrosjanem i Spasskim ten pierwszy (zwycięzca) schudł o 7 kg, a drugi o tyleż przytył.

To z broszury Stanisława Gawlikowskiego pt. „Pojedynki szachowych gigantów” wydanej z okazji meczu Fischer — Spasski. Anegdota, dykteryjka, ciekawostka wpleciona w relację o tym, co się w szachach dzieje od połowy ubiegłego wieku. Czy jest to właściwy sposób pisania o

dyscyplinie, w której obowiązuje żelazna logika, a zapis ma związek z terminologią matematyczną? Na dwoje babka wróżyła. Profesjonalni szachiści uznają to za zbędny balast, ponieważ istota tego zjawiska zawiera się w walce gońca z koniem, czy w uzyskaniu awansującego piona, a nie w towarzyskiej i środowiskowej otoczce mistrzostwa, natomiast szachiści bardziej laicycy wysmakują przede wszystkim anegdotę, gubiąc szachowe sedno podanego materiału. Osobiście jednak nie mam nic przeciw takiemu uromaczeniu i nie uważam, by charakterystyczny szczegół odebrał coś powadze relacji o wielkim wydarzeniu. Chyba tym bardziej jest on wskazany dziś, kiedy coraz częściej mówi się o zawodniku-komputerze, championie-maszynie do wynajdywania najlepszych ruchów.

Broszura Gawlikowskiego ma jeszcze jedną zaletę: duży materiał porównawczy. Andersen, Morphy, Steinitz, Lasker, Capablanca, Alechin, z młodszych: Botwinnik, Smyslov, Tal, Petrosjan, Spasski, Fischer — defilują szpalami tej broszury tworząc barwny i urozmaicony pochód talentów, którym przydomki „naj” należy się chyba wszystkim równocześnie. Kto ślady przy szachownicy nie tylko dla wydużenia mała, ale przy tej okazji lubi pyknąć z fajerki wspomnień i zasobów pamięci, ma tu okazję do satysfakcji. Może tylko jeden mankament należałoby wytknąć fortunnie gawędziarskiemu autorowi: pominięcie, z wy-

jątkiem krótkiej wzmianki — postaci Czigoryna. Wprawdzie wybitnemu rosyjskiemu szachiście nie zdarzyło się zasiać na tronie mistrza świata, ale przecież tytuł broszury mówi w ogóle o gigantach, a Czigoryn do takich niewątpliwie należał.

Warto zwrócić uwagę na cene dziesięciu szachów. W znaczeniu najściśle finansowym. Przed meczem Fischer — Spasski rozpisano przetarg wśród miast rezydujących na miejsce spotkania. Zwyciężył Belgrad oferując sumę 152 000 dolarów, drugim był Buenos Aires (150 000), trzecim Reykjavik (125 000). Po wielu perypetiach walczące strony przyjęły za uzgodnione, że pierwsza połowa meczu zostanie rozegrana w Belgradzie, druga w Reykjaviku. Ale tu doszło do głosu znane hochsztaplerstwo Fischera: oświadczył, że jego pełnomocnik nie był upoważniony do przyjęcia finansowych warunków spotkania i sam postawił wyższe. Kiedy zaistniała ta trudność, Fischer spietrzył dalsze: po przybyciu z opóźnieniem na nowe miejsce spotkania (Reykjavik) poszedł spać. Londyński bankier Slater powiększył fundusz nagrodowy o 50 000 funtów. Wtedy doszło do meczu ze wszystkimi znanymi jego perypetiami.

A Fischer? Jakakolwiek reńoma łączy się z osobą nowego mistrza świata, nie wydaje się poważne, by na terenie szachów powtarzać gierki div operowych, które w ostatniej chwili zrywają koncert

w La Scali, by zyskać tym większy rozgłos. Tym bardziej kiedy się tajemnicze szachownicy opowiada w stopniu ten rozgłos już gwarantującym. Tak samo nie potrzeba w tym celu kolekcjonować ubrań.

Cokolwiek przesady wydaje się również tkwić w opiniach na temat tej gry. Owszem, można i tak, jak amerykański arcymistrz Evans: „Jest to największa indywidualność, najbardziej nieustępliwą, niekomunikatywną, samotną, zamkniętą w sobie, niezadolny do współpracy z kimkolwiek i niezależny mistrz szachowy wszystkich czasów. Jest to jednocześnie najbardziej samotny mistrz na świecie. Jest to również najlepszy gracz na świecie. Jest to najlepszy gracz, jaki kiedykolwiek żył na świecie”. Nierzadkie od sprzeczności niektórych określeń, jeśli wszystkie mają być pochwałami, trudno przypuścić, że w pokonany polu Fischera miał znaleźć się Alechin, Morphy, Zuckertort, gdyby czas okazał się na tyle łaskawy i uczynił wyjątek dopuszczając do bezpośredniego spotkania tamtych mistrzów z dzisiejszym „głodnym brooklińskim wilkiem”. Pogrzebny w podziemiach. W Reykjaviku nie było odpowiednika średniej z „350 wybranych partii A. Alechina”. Może już nigdzie i nigdy nie będzie!

Ijon

Włodzimierz Ścisłowski Mistrzowie

1. Nowy wernisaz: kłęby kablo, na haku zardzewiała szabla i jakiś drut wadzący w rurę... Mistrz śląc spojrzeń swa ponure obłą zbranych majoremem, aby uświetnić tę imprezę. Oto „happening”, klaszć narodzie, bo to jest modne na Zachodzie.
2. Reżyser N. — to mistrz thrilleru, ach, ileż zrobił już numerów gdzie ręką-noga-mózg na ścianie, gdzie przekrojone na krzyż panie, trzy trupy w wannie, dwóch wisielców i jedno oko na widelcu. Czemuż pupilkiem mistrza zbrodnień? — Bo to jest modne na Zachodzie.
3. Kolejny mistrz przedstawia wam się: jest w artystycznym właśnie transie — pluje wieko ad pianina, na klawiaturze nogi trzyma i włącza silnik odkurzacza, czym nowy w sztuce kurs wyznacza. A czemuż zgrywa się zbrodnień? Bo to jest modne na Zachodzie.
4. Wieszcz belkot ma w najwyższej cenie, reprezentując „pokolenie”. Pizze o niczym „antypowieść”, aby w niej swoich racji dowieść. Odbiorca jego — to „elita”. Kto nie chce — mawia — niech nie czyta! Profan! Pogląd jego podziel, bo to jest modne na Zachodzie.
5. Tak oto tworzą nam mistrzowie, co wciąż sięgają po odpowiedź, że „Mickiewicza też tępiono”, że myli się krytykowie grono, że oni kroczą w awangardzie i są współcześni jak najbardziej... No, i zostają wnet na lodzie, bo to też modne na Zachodzie.



Krytyk i poeta

Rys. W. Fuglewicz

Odpowiedzi redakcji

Zofia Wiesława K. Proszę Pani, dziś w wierszu jeśli się zrymuje „kobiecie” i „serce”, od razu go można uznać za chybyony. Ten zgrzyt przekreśla całą jego wartość.

J. J. Aleksandrów Kujawski. Być może, że posładamy w tym względzie zbyt tradycyjne nastawienie, ale nie przekonano nas uformowanie tekstu w kształt drzewa (grzyba atomowego?). Od sztuczek wolimy rzeczysławą oryginalność.

„Lewal”. Miejscami wydaje się, jakby Pan potrafił w nieczepnie uosony, ale w szczerzy ton. To każde odpowiedzię również szczerym przychyleniem ucha. Ale natwocieli w tym jest za dużo. Jedyna podciecha, że jest to znów naiwność własna, a nie powstała przez powtarzanie zasłyszanych refrenów. Z tym wszystkim jednak poszukiwania należy rozpocząć w innym kierunku i zdobyć umiejętność warsztatowe. Samo opisywanie nastrojów nie wystarczy.

J. G. Lublin. Nie lada dół nam Pan zadanie przesyłając w rękopisie utwory swego kuzyna. Ich przeczytanie dorównało chyba trudowi napisania. Udało się nam jednak, dzięki czemu możemy służyć odpowiedzią. Są za mało dojrzałe, poprzestają na malych odkrywaniach, nie starają się osiągnąć maksymalnego napięcia. Dość zdawkowo relacjonują nieudrodne do odkrycia prawdy. Przepraszamy za szczerze, przypuszczamy jednak, że stanie się ona czymś w rodzaju dopingu. Za ciepłe słowa pod naszym adresem serdecznie dziękujemy.

P. G. Parzew. W Pańskich opowiadaniach sytuacje ludzkie są uchwycone dość trafnie, ale artystycznego argumentu dodawały im umiejętność przedstawiania konkretno. Oczywiście chodzi o konkrety nie pierwsze z brzęgu, ale typowe, tworzące scenierie obrazów. Wyjść z tej przestrzeni abstrakcyjnej w rzeczysławą układ słowników, w rzeczysławą pejzaz, inaczej: w życie — oto postulat, który przede wszystkim narzuca się przy czytaniu Pańskiej prozy.

S. W. Pabianice. Nie proszę Pań, utworów dramatycznych w zasadzie nie drukujemy.

P. R. Słozek Lukowski. Dlaczego od razu rezygnacja? Wprawdzie nie znamy tekstów i niczego o nich nie możemy powiedzieć, ale sądząc na podstawie listu byłoby się skłonni widzieć tu pewne możliwości. Zaznaczamy tylko, że wybór tego zajęcia jest bardzo obowiązujący dla samego zainteresowanego i nie zawsze łączy się z uczuciami przyjemnymi, jak satysfakcja, zaspokojona ambicja, czy poczucie dobrze wykonanego zadania. Czy więc wybierać? Właśnie to pytanie chciałbyśmy postawić.

M. G. Skarżysko-Kamienna. Więcej jednolitości stylistycznej. Nie można „partii odaustralskich” prowadzić językiem Kraszewskiego czy Rodziwierzówny, dialogi zaś bohaterów — gwara dzisiejszej ulicy. Realizm to przede wszystkim styl, a nie zlepek prawdziwych obrazów. Musi Pan zastanowić się nad celem własnego piśmiarstwa, nad znaczeniem i wymową prawd, które Pan chce czytelnikowi przekazać. W literaturze — przeciwnie niż w matematyce — prawdy mogą się wzajemnie wykluczać. Chodzi o to, by się nie wykluczały w piśmiarstwie jednego autora, a tym bardziej — w jednym utworze.

C. Z. Radom. Chciałby Pan napisać utwór — jemiół. Od Kochanowskiego pożyczyc „wysokie góry i odziane lasy”, od Leśmiana — „malinowy chrusniak”, od Mickiewicza — „gałąź jedliny”, od Galczyńskiego „noc czerwcowa, jaśminowa królawa” i w ten sposób skompiłować pean na cześć polskiej przyrody. „Daremne żale, próżny trud” — odpowiem słowami Asnyka. Tylko kostium arlekiina może być uszyty z kawalków różnych materii. Normalny garnitur takiej pstrokaczyny nie znosi. I w ogóle musi to być materiał własny.

W. G. Pszczela Wola. Tak, ale prorocztwami i to w dziedzinie twórczości najmniej się nie możemy. Stan rzeczysławisty musimy przyjmować takim, jaki jest, a przewidywania możemy czynić co najwyżej przedmiotem interesującej dyskusji. Jedno jest pewne: nawroty stylów w literaturze mogą się zdarzać. Nie mogą się zdarzać nawroty osiągnięć. Od tego są także słowa, że aż skóra ciernie na grzbiecie każdego debiutanta: „epigoniizm”. Ciepłe serdecznie, że Pańska praktyka literacka nie idzie w ślad za rozważaniami teoretycznymi.

Waleria Sulima
smak
miłości
i Jez

Wprawdzie redakcja (patrz str. 11 — listy) zapowiada, że powieść skończy się tragicznie, ale sprawa autorki jest jeszcze to i owo względnie — ku zadowoleniu czytelników. Na razie akcja powieści, drukowanej w autonomicznej rubryce „Początek”, toczy się dalej. Mariuszem targają niepięknie, czy zobaczy jeszcze kiedykolwiek swoje pieniądze, które tak lekkożyście polityczył. Właśnie telefonował do niego Robert, sympatka Nin, Mariusz wywał się na moment z pracy.

Robert zaproponował, by uściplili do „Lubliniana”. Na dół wszystkie miejsca były zajęte, ale na górę udało im się znaleźć wolny stolik. Duższy czas musieli czekać na kelnerkę, zamówili dwo-

male czarne. Mariusz niecierpliwił się.
— Zaraz, zaraz, powoli, pania Mariuszu, wlećci nie są zbyt wesole. Milicja już od dawna miała na oku ojca Barbary. Niech pan sobie wyobrazi, że to zawodowcy, jeśli tak można powiedzieć, pokrzyżują.
— Nie może być!
— Nie grał pan nigdy w pokera? To gra, która uciąga człowieka! Ojciec Barbary był nie tylko pokrzyżowany, ale i oszustem. Miał dobrego kompana, znanego różnym umownym znakom i uciążliwym natychmiast, potrafił spłukać ich do suchej nitki. Pan wie, że natychmiast z nas nie brakuje. No nie — dodał, kiedy zobaczył, że Mariusz potraktował to jako żart — przecież nie pana miałem tutaj na myśli! Wszystko sło nadspodziewanie dobrze, ale raz nasz pokrzyżowany nacją się szepnie. Spotkał dwóch cwaniaków z Wybrzeża, którzy wyglądali tak, jakby do dziesięciu nie mogli policzyć. Kiedy jednak towarzystwo, to znaczy tych dwóch cwaniaków, ojciec Barbary i jego kompan, siedli na noc przy stoliku stracił im mniej ni więcej... No, niech pan zgadnie!
— Nieprzejdź mi wtem, 20 tysięcy?
— Panie Mariuszu, widzę, że pan nie ma o pokerze zielonego pojęcia. W jednej tylko puli było 20 tysięcy złotych! Grał po stole z nieograniczonym przebiegiem. I to ciępu tej jednej nocy nasza lubelska para cwaniaków przegrała 200 tysięcy złotych.
— Skąd pan to wszystko wie?
— To osobna sprawa, ale wiadomości są bardzo ciekawe. Ale nie koniec na tym, proszę słuchać dalej. Następnego dnia pan się trafił ze swymi pie-

niędzmi, ojciec Basti zaproponował panu „interes”. Propozycja była pękną, dał się pan zapać. Nie tylko pan. Znalazło się jeszcze kilku innych natychmiast i odbyła się noc rewantowa.
— Nie bardzo rozumiem, to ci z Wybrzeża nie uciekli po tej wygrananej?
— A po co mieli uciekać? Byli przecież pełni, że uda im się wygrać drugie tyle! Czy ja wiem? A może kierowali się innymi pobudkami? To zresztą mało ważne, natomiast istotny jest sam finał. Cwaniacy z Wybrzeża dyktowali całą grę. Najpierw pozwolili dać się odegrać ze 100 tysięcy złotych, ale potem zaproponowali podwyższenie stawki do 200 złotych. Ojciec Barbary, zachęcony początkowym sukcesem, przystał na to z ochotą i w kolejnej fazie gry zdobył jeszcze zebrać pulę i w wysokości 50 tysięcy złotych. Ale to już było wszystko, teraz gra zaczęła się już toczyć w piorunującym tempie. Nie minęła godzina, a obaj lublinianie byli gołi jak turcyjscy święci. Przegrali więc te wygrane, a raczej odgrane, 150 tysięcy i jeszcze w dodatku popłynęli na 250 tysięcy złotych. W zamie wzięc bilans wyniósł 450 tysięcy złotych strat. I co pan na to?
— Mariusz ledział jak zdruzgotany. Początkowo podjął się, że cała sprawa ma sto gospodarczo, że chodzi o jakiegoś zandbana, niedopłaconiana, no, może i kandy. Ale teraz wszystko zobaczył w innym świetle. Ale to jeszcze nie był koniec rewangelacji.
— Może pan sobie wyobrazić, że ojciec Barbary i jego kompan bynajmniej nie dali za wygraną. Zaproponowali kolejną spotkanie. Historia się powtórzyła. Znow stracił 200 tysięcy złotych. I teraz

nerwy odmówiły im postulezestwa. Chociaż, było wie — śledztwo trwa — być może wszystko było z góry ukartowane. Faktem jest, że ojciec Barbary wyjął pistolet i zajął zwrócić całej sumy. To znaczy 50 tysięcy złotych. Cwaniacy z Wybrzeża nie byliby cwaniakami, gdyby wszystkie pieniądze mieli przy sobie. Sterroryzowani bronnią, dali 100 tysięcy i jeszcze 150 tysięcy. Gdy kompan ojca Barbary przekrzywił im kłieżenie, a w tym czasie ojciec Barbary trzymał ich na muszce, jeden z nich usiłował wytrącić mu broń z ręki. Pistolet wypadł...
— I co, i co się stało?
— Stało się najgorzej. Niejaki Zygmunt Olech-ryk, nigdzie nie pracujący mieszkaniec Gdańska, rozwał się z tym ślepotem.
— O Boże! Czyli ojciec Barbary jest oskarżony o morderstwo?
— Tak, to jest najpoważniejszy zarzut, ale, jak pan widzi, zarzutów jest więcej, łącznie z wydużaniem pieniędzy. Pan jest, przynajmniej jak dotąd, siódmym ofiarą.
— Mariusz spuścił głowę. Jednego nie rozumiał:
— Ale wobec tego dlaczego matka Barbary dała mi te 20 tysięcy złotych? Przecież nikt jej do tego nie zmuszał? Czy ona nie wiedziała o tej całej historii?
— Matka Barbary sądzi, że dopiero teraz ułoty sobie życie. To jest baba kuta na cztery nogi. A te 20 tysięcy złotych otrzymał pan tylko z uwzględnieniem sympatii, jaką żywi do pana pana Basti.
— Panie Roberte, to jest za wiele, jak na mo-
je stly... (den)